ORATORIANA

nr 32

czerwiec 1995

POLSKA FEDERACJA ORATORIUM ŚW. FILIPA NERI

Od Redakcji

Przekazując Drogim Współbraciom kolejny numer ***Oratoriany*** *poświęcony pamięci tych, którzy pracując w naszych wspólnotach, wyprzedzili nas w drodze do Domu Ojca, serdecznie dziękuję wszystkim, którzy zechcieli podzielić się swymi wspomnieniami.*

Niektóre z nadesłanych materiałów wymagały trudu sięgnięcia do odpowiednich dokumentów, przez co stają się poważnym przyczynkiem do ocalenia od zapomnienia wspaniałych postaci naszej filipińskiej historii.

Myśląc o następnym numerze ***Oratoriany***, *zwracam się z serdeczną prośbą o utrwalenie tego wszystkiego co dzieje się obecnie w naszych wspólnotach w związku z Rokiem Jubileuszowym 400 – lecia śmierci św. Filipa. Z pewnością w każdej kongregacji będą z tej okazji wygłaszane kazania, odczyty itp. na temat naszego Ojca Założyciela i Oratorium. Bardzo proszę, by poszczególne kongregacje wytypowały kogoś do zebrania i opracowania tych materiałów w celu podzielenia się tym bogactwem z innymi wspólnotami na łamach* ***Oratoriany.***

ks. Adam Adamski COr

ORATORIANA nr 32
(czerwiec 1995)

Spis treści

Ocalić od zapomnienia

Ks. Wiktor Sobecki COr
– *ks. M. Gosa COr* 3

Brat Marian - Józef Jaworski COr
– *ks. M. Gosa COr* 5

Ks. Jerzy Lewicki COr
– *ks. Wł. Dratek COr* 10

Ks. Kazimierz Wasela COr
– Pośmiertne wspomnienie
– *ks. M. Smagacz COr* 13
– Wymodlony przez Swoją Matkę
– *ks. T. Nagel COr* 16

Ks. Edward Zieliński COr
– Szedłeś śladami św. Filipa
– *ks. T. Nagel COr* 17

Ks. Jan Tomczak COr
– Owoc dojrzały
– *ks. E. Hanas COr* 18
– Pamięci ks. Jana
– *ks. T. Nagel COr* 21
Świętogórscy Bracia
– *ks. T. Nagel COr* 22

"Niech Aniołowie zawiodą Cię do Raju"
(Pamięci ks. K. Waseli, ks. J. Rataja, ks. L. Rachwała,
ks. E. Zielińskiego)
– *ks. T. Nagel COr* 22

Z życia federacji

25 – lecie pracy filipinów w Poznaniu - Świerczewie
– *A i N Kowalscy* 27

Wakacyjne spotkanie kleryków "Studzianna '94"
– *kl. H. Schwanke COr* 30

Radosne dni
– *ks. T. Nagel COr.* 31

Nowy DR
– *ks. M. Prasek COr* 32

Opracowania

"Za innego mnie mają"
– *ks. H. Jaromin COr.* 35

Jaki był O. Jaromin? – ankieta
opr. ks. Wł. Mleczko COr 56

Modlitwa racją bytu oratorianina
– *ks. Wł. Mleczko COr.* 66

Ks. Wiktor Sobecki
1903 – 1982 r.

Ks. Wiktor Sobecki urodził się 17.10.1903 r. w Podniewku k. Mogilna jako syn rolnika, z rodziców Konstancji i Franciszka. Matka zmarła 15.08.1946 r., a ojciec 10.08.1947 r. Miał młodszego brata Ludwika, który był dobrym lekarzem dziecięcym w Inowrocławiu. Zmarł młodo w 1963 r.

Wiktor Sobecki ukończył Gimnazjum Państwowe w Inowrocławiu w 1922 r. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości wstąpił do seminarium duchownego. Studia teologiczne odbywał od 30 września 1922 r. do 8 lipca 1926 r. w Poznaniu, a od 1 października 1926 r. do 3 lipca 1927 r. w Gnieźnie. Święcenia kapłańskie otrzymał 3 lipca 1927 r.

Jako wikariusz jeden rok pracował w Obornikach, a od 1928 do 1939 r. w Kępnie na stanowisku prefekta religii. Tam pismem Kuratorium Okręgu Poznańskiego z dnia 30 maja 1938 r. został mianowany profesorem. Po wybuchu wojny, 2.11.1939 r. w Inowrocławiu został aresztowany przez Niemców. Przebywał w obozach niemieckich w Świeciu, Grudziądzu n. Wisłą, Stuttchofie pod Gdańskiem, Sachvenhausen pod Berlinem i w Dachau. Uwolniony został 29.04.1945 r. Przez półtora roku pełnił funkcję kapelana wśród Polaków w Niemczech w Schwäbisch Gmünd i Schorndorf w Wütembergii. Do Polski powrócił w ostatnich dniach grudnia 1946 r. Od 16 stycznia 1947 r.z polecenia władz kościelnych objął parafię Wieleń n/Notecią. Administrował tą parafią przez dziewięć lat, do Wielkanocy 1956 r. Od kwietnia 1956 r. do stycznia 1958 r. przebywał jako zakonnik – nowicjusz w klasztorze OO. Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, przyjmując imię O. Kazimierz. Ze względów zdrowotnych zmuszony był opuścić klasztor i wrócić do macierzystej diecezji. Kuria Poznańska zleciła mu na cztery miesiące zastępstwo w Kunowie k. Gostynia, a od 29 maja 1958 r. przeniosła go na stanowisko rządcy parafii Mórkowo k.Leszna, gdzie duszpasterzował do 17 maja 1959 r.

Zachęcony przez ks. Leopolda Rachwała i po otrzymaniu zgody ks. arcybpa Antoniego Baraniaka i dyspensy Kongregacji od wieku, wstąpił do Księży Filipinów na Świętej Górze, gdzie pozostał aż do śmierci, która nastąpiła 8 lipca 1982 r. Pochowany został 11 lipca w podziemiach Bazyliki Świętogórskiej.

Ks. Wiktor Sobecki był człowiekiem o szlachetnym sercu. Niczego nie chciał dla siebie. Wszystko rozdawał, dlatego nawet wielokrotnie wykorzystywano jego dobroć. Był pogodny i zawsze uśmiechnięty. Dla każdego był życzliwy. Pozwalał wszystkim traktować się jak dobrego kumpla, szczególnie młodszym. Był pokorny, usłużny, wrażliwy na potrzebę bliźniego. Lubił młodzież i dzieci. Nikogo od siebie nie odtrącał. Ludzie to wyczuwali, więc garnęli się do niego nawet ci, którzy przez innych nie byli lubiani; przy tym jednak zawsze był układny w towarzystwie. O szlachetności jego niech świadczy fakt z okresu, gdy miał już mocno posuniętą miażdżycę. Wstał o drugiej po północy i puka do współbrata. Gdy ten się obudził i pyta

o co mu chodzi, ks. Wiktor mówi: chciałem się spytać która godzina. Gdy współbrat mu odpowiedział, że dopiero druga w nocy i poprosił go, aby poszedł spać, ks. Wikror wrócił do pokoju, ale po godzinie przychodzi i mówi: kolego, ja cię przepraszam, że ci przeszkodziłem w spaniu.

W nekrologu napisano, że był apostołem cierpiących. Rzeczywiście takim był. Niech świadczy o tym chociażby to, że chodził lub jechał autobusem do najbardziej opuszczonych chorych z posługą kapłańską spowiedzi i komunii św. Gdy już mu tego zabraniano, to po kryjomu brał Pana Jezusa w teczkę i zanosił cierpiącym i chorym. Nikomu niczego nie odmówił. Na nikogo się nie skarżył. Kiedy pytano go, jak było w obozie w Dachau, odpowiadał: "Można było wytrzymać", albo: "Dobrze".

Ks. Wiktor Sobecki od samego początku swego kapłaństwa był kapłanem według Serca Bożego. Był człowiekiem modlitwy. Przesiadywał ciągle w kościele. Modlił się na brewiarzu, różańcu i przed Najświętszym Sakramentem. Jako spowiednik praktykował metodę Chrystusa Miłosiernego. Wszystkim i wszystko przebaczał, dlatego penitenci chętnie szli do niego. Każdemu mówił naukę, ale nikogo nie strofował. Mówił o dobroci Bożej i Jego miłości. Zawsze nawiązywał do Matki Bożej i Jej macierzyńskiej troski o nas. Był urzędowym spowiednikiem Sióstr w Piaskach, Marysinie i okolicznych domach. Szczególnym jego umiłowaniem była Msza św. On ją nie tylko odprawiał, ale żył Mszą św. Celebrował ją z namaszczeniem. Piękne czynił wprowadzenia do liturgii dnia, choćby na tej Mszy św. była tylko jedna osoba. O jego trosce o właściwe przeżywanie Eucharystii świadczą słowa, które zawarł w swoim testamencie: *"Słowa konsekracji we Mszy św. wolniej wymawiać i przeżywać, a dziękczynienie po komunii św. odprawiać chociaż przez pięć minut". Testament zakończył słowami: "Idę do ołtarza Bożego, do Boga, który uwesela starość moją. Niech prowadzi mnie Matka Najświętsza".*

Długie lata spędził na tłumaczeniu dzieła niemieckiego profesora liturgiki Theodora Schmitzlera "Die Messa in der Betrachtung", czyli "Msza św. w rozważaniu". Uzupełniał je swoimi komentarzami i dodatkami. Miał obietnicę wydania tej książki przez Księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu, o czym świadczy pismo z dnia 28 lutego 1964 r. oraz z 29 lipca 1965 r. Ze względu jednak na szybkie zmiany, jakie się w tym czasie dokonywały w liturgii mszy św. na podstawie wykładni Soboru Watykańskiego II, do wydania nie doszło. Taki sam los spotkał przekład książeczki K. Hocka pt. "Ćwiczenia stawiania się w obecności Bożej" i relacje na temat: "Piękno śmierci", chociaż recenzenci wydawnictwa wskazywali na wielkie walory tych pozycji. Warto by ktoś z młodszych współbraci do tego wrócił.

Ks. Wiktor Sobecki ogromnie kochał pracę duszpasterską, dlatego chętnie podejmował pomoce i zastępstwa w parafiach, do których Kongregacja go posyłała. Długie miesiące spędził na zastępstwach w Gubinie k. Krosna, Konojadzie, Stawie k. Kalisza i innych. Czuł się tam dobrze. Spełniał kapłańskie posługi, chodził po kolędzie. Wszyscy go lubili, bo każdemu był życzliwy.

Często nadmieniał iż to, że został kapłanem, zawdzięcza swojej pobożnej matce. Po jej śmierci całą synowską miłość skierował ku Matce Najświętszej. Dlatego prawie każdego dnia zaznaczał, że jest bardzo wdzięczny Matce Bożej, że na stare lata przyjęła go do siebie na Świętą Górę, gdzie mu tak dobrze "jak u Pana Boga za piecem".

Ks. Wiktor Sobecki jako oratorianin.

Był nim przez 23 lata. Był bardzo koleżeński, nigdy nie przeszedł obok drugiego bez słowa, ale odwrotnie, zawsze pierwszy pozdrawiał i witał. Gdy coś otrzymał w prezencie, zaraz się dzielił, a nawet zmuszał do wzięcia. Dzielił się nawet dowcipem. Żartobliwie używał często słowa "piernik", a na stare lata nawet korespondencję podpisywał "stary piernik". Jego uniesiona prawa ręka i słowa "wita cię stary piernik", naśladowane są do dnia dzisiejszego, nawet przez tych, którzy go nie znali. Choć upłynęło 12 lat od jego śmierci, to w Kongregacji Gostyńskiej jest najczęściej wspominaną postacią; cytowane są jego powiedzenia, jego zachowanie.

Jeśli można dodać swoją prywatną opinię, to ujmę ją w słowach: był to prawdziwie święty człowiek. Jego świętość nie była udawana, ale wypływała z całej jego osobowości i pełnej dobroci. Zachęcam młodszych współbraci, by w przyszłości opracowali szersze wspomnienie o ks. Sobeckim. Jest w archiwum klasztornym bogaty materiał dokumentalny zebrany przez ks. Kazimierza Jelonka.

Swoje wspomnienie chcę zakończyć słowami testamentu ks.Wiktora Sobeckiego:

" Żgnam Czcigodne Siostry zakonne z klasztoru, które pełne poświęcenia i ofiarności pomagały mi w każdej potrzebie.

Żegnam Kochanych moich parafian z Wielenia, Kunowa i Mórkowa. Bardzo lubiłem pracę duszpasterską, prowadzić ludzi do Boga.

Żegnam wszystkich moich penitentów, budowałem się zawsze ich pokorą, prostotą i szczerością.

Żegnam te wszystkie lasy, pola, którymi chodziłem, ten cały świat Boży, który zawsze podziwiałem jako piękne dzieło Boże.

Niech Zgromadzenie XX. Oratorianów pięknie się rozwija, niech Pan Bóg nadal błogosławi całemu Zgromadzeniu, niech czcigodni XX. Misjonarze słowem Bożym utwierdzają wiarę w sercach ludzkich, niech coraz liczniejsze szeregi wiernych ściągają na Świętą Górę, niech chwała Maryi ze Święteg Góry promienieje na całą Polskę".

Święta Góra 11.10.1994 r. ks. Marian Gosa COr.

Brat Marian – Józef Jaworski
1893 – 1983

Odwiedzając w szpitalu w Gostyniu 10.10.1994 r. ks. Jana Tomczaka, zostałem przez niego poproszony o napisanie wspomnienia o br. Marianie z Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Świętej Górze w Gostyniu. Do dyspozycji dano mi kilka dni. Podjąłem się tego zadania. Po powrocie ze szpitala poprosiłem ks. Henryka Brzozowskiego *o jakieś dokumenty o br. Marianie z archiwum Świętej Góry.Ten przyniósł mi wieczorem 10 teczek skoroszytowych: dokumentów, pism i pamiątek po br. Marianie. Pobieżnie je przejrzałem, natrafiłem też na spisane przez samego br.*

Mariana dwa dokładne opisy jego życia. Jeden tzw. "Curriculum vitae" *pisane na maszynie z datą 7 maja 1949 r., dołączone do prośby o przyjęcie do Kongregacji i drugie, bardziej obszerne, pisane ręcznie w punktach jako* "Wspomnienie dziękczynne z przebiegu swego już 90 – letniego życia, a szczególniej z przedziwnego "zabrania" z rodzinnej Bochni i włączenia do pracy i służby w Sanktuarium Matki Najświętszej na Świętej Górze w znamienny dzień uroczystości Matki Bożej z Lourdes, dnia 11.02.1949 roku". *(Na marginesie data 29 IV 1983 r.) Do tego muszę dodać, że patrzyłem na br. Mariana przez całe 34 lata jego pobytu na Świętej Górze, bo pod koniec września 1949 r. również przybyłem na to miejsce jako 14 – letni chłopiec do konwiktu i liceum gostyńskiego.*

Z tego wszystkiego dostałem mętlik w głowie, od czego zacząć? Po rozważeniu, postanowiłem zacząć od końca. Mianowicie po skrótowym opisie życiorysu, wspomnienie swoje chcę oprzeć na słowach zapisanych w nekrologu o br. Marianie, zamieszczonym w "Głosie Wielkopolskim"z dnia 10/11 XII 1983 r. Napisano tam tak: "W dniu 8 XII 1983 r. o godz. 21.30 w 91 roku życia i 34 powołania filipińskiego zasnął w Panu gorliwy czciciel Niepokalanej, Apostoł Sanktuarium Świętogórskiego, człowiek modlitwy i ofiary. Wspaniały w wypełnianiu swoich obowiązków we wspólnocie Oratoryjnej Brat Józef Marian Jaworski COr."

Br. Marian – Józef Jaworski urodził się 28.03.1893 roku w Bochni jako pierwszy syn małżonków Antoniny z Antoniaków i Piotra Jaworskiego. Między 3 a 4 rokiem życia w czasie epidemii szkarlatyny w Bochni uległ zapaleniu uszu i oskrzeli. Lekarze orzekli, że gotowy do trumienki, stan beznadziejny. Przy gorących modlitwach matki i siostry matki, Stanisławy Grzybowskiej z Niepołomic, która znała zabiegi wodolecznicze ks. Kneippa, przez inhalacje i inne zabiegi został uratowany. Po skończeniu szkoły powszechnej poszedł do Gimnazjum w Bochni. Gdy był w czwartej klasie zachorował mu ojciec, a było ich siedmioro dzieci. Wtedy musiał przenieść się do Szkoły Metalowej w Świątnikach, którą ukończył w 1912 roku. Po uzyskaniu Absolutorium dostał się do Państwowej Wyższej Szkoły na wydział mechaniczno – techniczny w Krakowie, którą musił przerwać z powodu słabego słuchu. Trochę przebywał w domu, a w 1914 r. dostał się do pracy w Eksploatacji Soli Potasowej w Kałuszu. Zrezygnował z niej, by być bliżej matki, której chciał pomóc w wychowaniu sześciorga rodzeństwa. Gdy wybuchła I wojna światowa, na dwa miesiące został wcielony do wojska austriackiego. Po powrocie do domu w listopadzie 1914 r. z całą rodziną musiał uciekać do Czech. Do Bochni wrócił po cofnięciu się frontu rosyjskiego. W październiku 1915 r. uzyskał pracę w biurze solnym Wydziału Krajowego w Bochni, gdzie pracował do 1920 r. Po upadku Austrii biuro to przeszło pod Zarząd Państwowy Żupu Solnej w Bochni, gdzie otrzymał pracę. W 1923 r. przebywając na wsi, zapadł na zewnętrzne zapalenie ucha, które minęło przy małej operacji zewnętrznej. W kwietniu 1930 r. przyszło drugie, wewnętrzne zapalenie ucha. Ponieważ życie było zagrożone, musiał poddać się operacji (trepanacji) prawego ucha w szpitalu św. Łazarza w Krakowie. Życie ponownie zostało uratowane, jednak z powodu wycięcia błony bębenkowej i specjalnej kostki w uchu środkowym miał słuch znacznie osłabiony i tylko dzięki wkładaniu specjalnej waty olejkowej mógł jeszcze dość dobrze słyszeć mowę z bezpośredniej odległości.

Rozmiłowany był w ks. Kneippie i posiadał 4 tomy jego dzieł. Gdy dowiedział się, że tą metodą leczy doktor A. Tarnawski w Kosowie Huculskim, tam spędzał urlopy i brał zabiegi od 1926 do 1938 roku. Ponieważ tam leczyła się cała elita z kraju i z

zagranicy, br. Marian nabrał tam ogłady towarzyskiej i odznaczał się wysoką kulturą osobistą.

Dla oderwania się od tych suchych wydarzeń, wspomnę o pewnym przeżyciu br. Mariana, które sam tak opisał w swoich "Wspomnieniach". *"W ciągu tych 13 lat Kosowskich wakacji przemknął i taki rok 1929 – w którym i mnie zagroził "urok". Zjawiła się wtedy w Lecznicy – późną jesienią – młoda niewiasta o nadzwyczajnej urodzie – profesorka Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie – niezamężna. Mówiąc podczas przechadzki, że tu jest pierwszy raz – zapytała, gdzie ta ścieżka prowadzi? – i idąc dalej razem, nagle rzuciła pytanie ... czy pan jest ... kochliwy? Będąc przy tym kalekim uchu nieśmiały, szczególnie do młodych niewiast – coś "odbąknąłem" – a zaś ona ... ja bym nie potrafiła się zakochać! ... Po krótkiej rozmowie nagle ujawniła /wyznała/, że bez ślubu ma już nawet dwoje dzieci z jednym z profesorów, pokazując nawet swoją legitymację z fotografią. Trudno mi opisać swoje żałosne zdziwienie i załamanie. Już urlop mój kończył się i z dziwnym smutkiem wyjeżdżałem z Lecznicy".*

W czasie II wojny światowej spotyka go cios najboleśniejszy – jak się wyrazi – śmierć matki w lipcu 1942 r. w obcym domu, na wygnaniu. Wśród szalejącej wojny pozostanie prawie sam z dręczącym coraz bardziej pytaniem: co dalej począć z życiem? Jeszcze przed wojną, jak napisze w swoim życiorysie dołączonym do podania z prośbą o przyjęcie do Kongregacji Oratorium w Gostyniu, "złamany nieszczęśliwym przeżyciem w młodzieńczych latach" żywił zamiar podjęcia starań o możliwość pracy i służby w jakimś klasztorze. Związany obowiązkiem utrzymania matki staruszki i pomocy młodszemu rodzeństwu, nie mógł zamiaru zrealizować. Po śmierci matki, w 1944 r. zgłosił się do Opactwa Ojców Benedyktynów w Tyńcu k. Krakowa. Mimo pewnych obiekcji, dano mu obietnicę pod warunkiem, że zwolni się z pracy w Salinie w Bochni, przejdzie na emeryturę i zlikwiduje zagrodę rodzinną oraz przybędzie do Tyńca w oznaczonym terminie. Sprawy przeciągnęły się do 1948 r. *"Trudno było mi się pozbyć zagrody rodzinnej, którą mi Matula zapisała, jako że dłuższe lata wspomagałem i umożliwiałem swoją pensją urzędniczą wychowanie i wykształcenie młodszego rodzeństwa".* Z pomocą przyszł mu Matka Boża. Kiedy w 1945 r. powrócił z bratem swoim do rodzinnej zagrody, zajęli połowę domu. Po paru tygodniach przyszło polecenie z Magistratu, aby drugą część domu przygotować dla lokatorki. Jak pisze we wspomnieniach: *"zalękniony pobiegłem prosić, że w tej drugiej połowie mamy sprzęt i miejsce dla kogoś z rodziny. Na te słowa odpowiedział mi funkcjonariusz: "Panie, panie! Niech pan nic nie mówi – będzie to matka księdza i będzie panu dobrze". Gdy po sprowadzeniu się owej lokatorki usłyszałem, że ta matula ma syna, który jest kapłanem w Sanktuarium M.B. na Świętej Górze k. Gostynia – miałem wyczucie, że już rozjaśnia się ta moja sytuacja. Przyjęta została moja prośba, że za to zamieszkanie będę miał obiady i wypraną bieliznę. Kiedy zwolniono mnie z pracy w Salinie, napisałem o tym synowi mojej lokatorki, ks. Kazimierzowi Szelidze do Gostynia. On napisał w grudniu do swojej matki, że w "Tygodniku Powszechnym" ukazał się ciekawy artykuł o Świętej Górze pt. "Miasto przyszłości", autorstwa pani Starowiejskiej – Morstinowej, bym go sobie przeczytał, i że jest konwikt uczniów w Gostyniu, gdzie jest potrzebny ktoś do prowadzenia księgowości i kartotek, i czy mógłbym przybyć, skoro jestem na emeryturze. Wreszcie 2.02.1949 r. w święto M.B. Gromnicznej, nagle weszła matula ks. Kazimierza Szeligi, podając żywo wiadomość, iż za tydzień przyjedzie syn i razem pojedziemy*

do Gostynia, abym się przygotował. I tak się też stało, że rankiem 11.02.1949 r. w święto M.B. z Lourdes znalazłem się na Świętej Górze, którą zostałem urzeczony".

Na Świętej Górze spędził br. Marian 34 lata i został pochowany dnia 12 grudnia 1983 r. w podziemiach Świętogórskiej Bazyliki.

Teraz kilka wyjaśnień co do cech określających osobowość br. Mariana, a wymienionych w nekrologu po jego śmierci.

1. Gorliwy czciciel Matki Bożej Niepokalanej.

Rodziców miał bardzo pobożnych i pracowitych. Wspominając ojca, mówił jak w każde święto i niedzielę, ubierając się śpiewał Godzinki do Matki Bożej. Matka w latach panieńskich należała do jednego z bractw przy klasztorze OO. Augustianów w Krakowie. Br. Marian wzrastał w Bochni, gdzie jest słynne Sanktuarium M.B. Bocheńskiej. W 1932 r. wstąpił do Sodalicji Mariańskiej Inteligencji Męskiej w Bochni, a po roku próby, w święto Niepokalanego poczęcia N.M.P., w Roku Jubileuszowym 1933 złożył uroczyste śluby sodalicyjne. We wspomnieniach swoich napisał, że nad jego łóżkiem w domu rodinnym wisiał obraz M.B. z Lourdes przywieziony przed wojną z Francji przez brata Czesława, a na przeciwległej ścianie obraz M.B. Różańcowej, przed którym spędzał długie godziny na modlitwie o poznanie woli Bożej.

W prośbie skierowanej do Kongregacji Oratorium na Świętej Górze z dnia 7 maja 1949 r. napisał: *"By resztę życia jak najlepiej wyzyskać i osiągnąć jego główny cel, pragnę je poświęcić Bogu i Matce Najświętszej, której wiele łask mam do zawdzięczenia, o ile to teraz słabo rozpoznać i uświadomić sobie mogę i której od kilkunastu lat ślubem wierności się zobowiązałem. Pragnę więc też przyczynić się do rozszerzenia Jej czci i chwały, skoro z Jej zrządzenia tutaj się znalazłem".*

Po przybyciu na Świętą Górę napisał do swojej siostry Jadwigi, która była Dominikanką na Gródku w Krakowie, nosząc imię s. Katarzyna. Ta odpisała mu, a br. Marian tak zrelacjonował to w swoich wspomnieniach: *"Czytając w moim liście opis wyjazdu z Bochni na Świętą Górę – krztusiła się śmiechem – tłumiąc go chusteczką, aby siostrę w sąsiedniej celi nie niepokoić. Ówczesna zaś M. Przełożona M. Konstancja Dolleżil dopisała się w liście s. Katarzyny do mnie: "Jakże cudownie opiekuje się panem Matka Najświętsza"; a s. Katarzyna dopisała: "Strzelałeś do Tyńca, a trafiłeś na Świętą Górę".*

Przez całe życie podkreślał fakt, że jego "instalacja" na Świętej Górze nastąpiła 11 lutego, w święto M.B. z Lourdes i jako dowód szczególnej opieki Niepokalanej. Do Niej odmawiał codziennie modlitwę. Każde święto Matki Bożej obchodził świątecznie, dawał temu wyraz nie tylko modlitwą, ale i śpiewem. Np. szedł do lasu i wyśpiewywał pieśni maryjne – zwłaszcza Zdrowaś Maryjo. W tym kontekście wymowny jest dzień jego śmierci: 8 grudnia, dzień Maryi Niepokalanie Poczętej.

2. Apostoł Świętogórskiego Sanktuarium.

Zaraz po przyjęciu do Kongregacji, jak pisze: *"dziękując za tę łaskę przed Jej Cudownym Obrazem, z żalem widziałem, że jest nieoświetlony, zaś w rodzinnej Bochni – po koronacji – pięknie reflektorem rozjaśniony. Więc w refektarzu prosiłem ks. Superiora o rozpoczęcie starań o reflektor, dla którego bardzo dobre miejsce jest za aniołkiem ponad tabernakulum. Wreszcie przyszedł taki radosny dzień, kiedy ks. minister Kazimierz – żywo wchodząc do mego pokoju, zawołał: "Obraz już oświet-*

lony!" Gdy wbiegłem do kościoła, stała tam już grupa osób z p. Pośpieszyńskim, obserwując oświetlenie. Sam zaś, gdy uklęknąłem przed głównym ołtarzem – wpatrując się w oblicze M.B. – wyczułem jej wnikliwe spojrzenie, jakby mówiące: jesteś tu nareszcie synu niegdyś mamotrawny! A jakież było pierwsze wrażenie przybyłych wieczorem na nabożeństwo ludzi? Uradowani mówili: ani sobie nie wyobrażaliśmy, że obraz jest tak piękny i w takich jest kolorach". Cieszył się tym jak dziecko.

Co roku jesienią wyjeżdżał na miesiąc w rodzinne strony na wakacje. Najpierw wstępował do siostrzenicy Krystyny, a na ranne msze chodził do kościoła XX. Misjonarzy na Kleparzu, gdzie jest łaskami słynące Sanktuarium M.B. z Lourdes z Jej bardzo piękną, koronowaną figurą i mnóstwo wot dziękczynnych. Zauważył tam kiedyś afisz pt. Ufajmy Maryi. Zachwycony nim, postanowił cały ten modlitewnik zachęty w całości przepisać i później powielić. Jak pisze: *"Z taką cenną zdobyczą wracając na Świętą Górę – podałem to "UFAJMY" ówczesnemu ks. Superiorowi do wglądu, prosząc o zezwolenie przepisania ich na dużym kartonie, a później sporządzenia wielu fotokopii."* Tak też się stało. Do dzisiaj afisz ten wisi w sali domu rekolekcyjnego i w tysiącach odbitek został rozpowszechniony. Br. Marian miał wspaniały charakter pisma. Do dzisiaj jeszcze wiszą afisze jego ręką pisane, czy różne modlitwy do Świętogórskiej Róży Duchownej. Posyłał te modlitwy do swoich znajomych czy krewnych, opisując wspaniałość Sanktuarium Świętogórskiego. Zrobił kilka kapliczek M.B. Świętogórskiej, do dzisiaj jedna z nich wisi nad bramą wjazdową do klasztoru. Nie sposób wymienić wszytkiego co br. Marian zrobił dla naszego Sanktuarium. Tytuł Apostoła Świętogórskiego Sanktuarium jest mu należny.

3. Człowiek modlitwy i ofiary.

Br. Marian nigdy nie klęczał w ławce z oparciem, ale zawsze na dwa kolana z modlitewnikiem w ręku. Codziennie uczestniczył przynajmniej w dwóch mszach św. Gdy nie było ministranta, zawsze był br. Marian. Zawsze rozmodlony, a jednak dobrze uważający i usłużny. Nie trzeba go było prosić, bo choć nie słyszał, to wszystko dostrzegał. Był człowiekiem wielkiej kultury ducha, oczytany i o nadzwyczajnej subtelności oraz skromności.

Był też wielkim czcicielem św. Józefa swego patrona. We wspomnieniach znajduje się opis jego pobytu w Kaliszu w 1948 r. Tak to ujął: *"W takiej rozterce żyjąc, wyczytałem w prasie katolickiej, iż w kwietniu 1948 r. odbędzie się w Kaliszu pielgrzymka dziękczynna kapłanów, którzy przedziwnie ocaleli z obozu koncentracyjnego Dachau, a też i z Oświęcimia – do Sanktuarium św. Józefa, gdzie jest Jego cudowny obraz koronowany, całej św. Rodziny... Była ta wiadomość nadzieją tak ożywiającą i pobudzającą, że uprosiłem u mego kierownika w Salinie parę dni urlopu, jako że to przecież mój Święty Patron i przed wieczorem byłem już w Kaliszu w Sanktuarium".* Przeklęczał całą noc w kościele, odprawił spowiedź u Jezuitów, od rana oczekiwał na procesję z ocalonymi kapłanami ulicami Kalisza. Napisze potem, że *"widok idących parami pół tysiąca osób, wzbudzał rzewne wzruszenie".* Przed odjazdem wstąpił do zakrystii, gdzie poprosił o poświęcenie obrazka św. Józefa i pamiątkowy podpis. Podziękowawszy za wszystkie łaski ważnej tej pielgrzymki ruszył w stronę dworca "odczuwając ulgę i wewnętrzne ukojenie".

O br. Marianie można pisać w nieskończoność. Teraz więc w krótkich zdaniach. Br. Marian na cześć swego patrona pościł w każdą środę. Żył o wodzie i kromce chleba, a w lecie spożywał trochę owocu. Całe życie nie jadł mięsa, wyjątkiem były

tylko wielkie święta jak Wielkanoc i Boże Narodzenie. Wszystkich namawiał do postu. Chodził boso po rosie. Kochał przyrodę. Do niego zlatywały się najróżniejsze ptaszki, a on je karmił i z nimi rozmawiał. Zachwycał się całą przyrodą i odkrywał w niej wielkość Boga. Do br. Mariana szli wszyscy i ze wszystkim. Był "złotą rączką", wszystko naprawił i wszystko zrobił. Cechowała go wielka precyzja i dokładność. Wyczulony był na ludzkie cierpienie. Gdy ktoś zachorował, br. Marian już tam był. Ileż ofiary i usłużności poświęcił choremu na stwardnienie rozsiane ks. Józefowi Kwaśniakowi i wszystkim innym. Kochał każdego bliźniego i wszyscy kochali jego.

Muszę w tym miejscu przerwać dalsze wspomnienia o br. Marianie, gdyż i tak są one długie. Niech czytający odczują to jak niedokończony poemat, bo o br. Marianie można taki poemat napisać. Niech ktoś z młodszych podejmie się tego zadania. Postać br. Mariana jest tego warta. Zakończę zaś takim zdaniem: Br. Marian był świętym człowiekiem, był świętym bratem, był świętym oratorianinem.

Święta Góra, 12.10.1994 r. ks. Marian Gosa COr.

Ks. Jerzy Lewicki
1920 – 1988

Wspomnienie o Ojcu Jerzym Lewickim

"Dominus Solus dux eius fuit"

"Sam Pan był Jego przewodnikiem" – tymi słowami, wyjętymi z Księgi Powtórzonego Prawa, rozpocząłem homilię w Poniedziałek Wielkanocny 4 kwietnia 1988 roku w czasie Mszy Świętej pogrzebowej, żegnając Ojca Jerzego Lewickiego. Pan odwołał go do wieczności w Wielką Środę wieczorem w 68 roku życia, po 40 latach niestrudzonej posługi kapłańskiej. Tymi samymi słowami rozpoczynam wspomnienie o Nim podyktowane wdzięczną pamięcią i miłością braterską. Trudno jest pisać o Kimś, Kto był Autorytetem, wzorem autentycznego kapłaństwa, wierności charyzmatowi filipińskiemu, o Kimś z Kim Opatrzność Boża złączyła moją drogę do kapłaństwa i najpiękniejsze lata posługi kapłańskiej i życia kongregacyjnego. Pragnąłem aby osoba Ojca Jerzego pozostała w mojej modlitwie i *sercu. Nie chciałem pisać bo tego nie potrafię tak jak by na to zasługiwał; lecz ponaglony przez Konfratrów, wypełniam ich wolę. Proszę więc o wyrozumiałość i o to, aby niniejsze wspomnienie nie było traktowane jako opracowanie naukowe, czy biografia Zmarłego, ale jako wspomnienie osobiste, subiektywne i oddające hołd należny wspaniałemu człowiekowi i kapłanowi.*

Ojciec Jerzy Lewicki urodził się 20 maja 1920 roku w Jedlni Letnisko, na ziemi radomskiej w rodzinie robotniczej. Wcześnie stracił matkę, wychowywała Go druga żona Ojca nazywana przez Niego Ciotunią. Po ukończeniu Gimnazjum Biskupiego

w Sandomierzu, rozpoczął studia teologiczne w Seminarium Duchownym. Lata wojny sprawiły, że studiował w Sandomierzu, Gnieźnie i Tarnowie, gdzie w 1948 roku przyjął święcenia kapłańskie. Po święceniach rozpoczął pracę w Kongregacji Studziańskiej, w której pozostał do śmierci. Pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji: Prowizytatora Krajowego czyli Wizytatora – Delegata Stolicy Apostolskiej dla Kongregacji Polskich, Superiora, Proboszcza, Ministra i wiele mniej znaczących. Jako dojrzały już kapłan ukończył Wydział Prawa Kanonicznego w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Był człowiekiem wyjątkowej pokory i cichości, obdarzony wrodzoną kulturą osobistą; rozmiłowany w świętym Filipie i Kongregacji. Chyba każdy, kto się z nim spotkał, odczuł wyjątkowość jego postaci; słaby fizycznie, silny duchowo. Swoją pokorą i cichością, a zarazem stanowczością zachwycał władze kościelne i państwowe, współbraci czy ludzi świeckich, choć czasem i denerwował. Umiał w życiu przegrywać, ale też będąc na piedestale nie celebrował swojej wielkości.

Wyjątkową cechą Ojca Jerzego była Jego wyrozumiałość i cierpliwość. O nikim i nigdy źle nie mówił, nie krytykował, umiał zachować umiar osądu wielu spraw i zawsze znajdował dobre cechy u drugich. Na nikogo się nie gniewał. Potrafił strofować, upominać nie naruszając ani godności, ani dobrego imienia. W trudnych chwilach, jakich nie brakowało w Jego życiu, był spokojny, opanowany i pogodzony z Wolą Bożą.

Gdy po Koronacji Cudownego Obrazu Matki Bożej Świętorodzinnej, która była Jego największą radością, musiał ustąpić z przełożeństwa, do nas kleryków, następnego dnia po wyborach napisał list, a w nim pouczające opowiadanie o "starych i nowych butach". Ten pierwszy list, skąpy w słowach ale mądry w treści, pozostał w mojej pamięci do dziś.

Ojciec Jerzy był cenionym spowiednikiem. Kochał konfesjonał. W konfesjonale był "Ojcem, bratem, prorokiem, pasterzem i liturgiem". Jego zasadniczą zaletą jako spowiednika, była wewnętrzna kultura i charakter. Zrównoważony, zawsze gotowy nieść pomoc i radość. Oddziaływał na ludzi nie tyle słowami, co swoim zachowaniem. Nigdy się nie śpieszył. Cierpliwy w posłudze jednania ludzi z Panem Bogiem. Spowiednik kapłanów, sióstr zakonnych i ludzi świeckich. Porównał Go ktoś do zdolnego chirurga, któremu w decydującym momencie nie drgnie ani nie pospieszy się ręka. Mówił zawsze spokojnie. Oszczędny w słowach, precyzyjny, trafiający do każdego z jakąś niezwykłą intuicją. Sprawując Sakrament Pojednania, uratował wiele dusz ludzkich. Wiele osób do dziś wspomina Go jako wspaniałego spowiednika.

Szczególną miłością otaczał Ojciec Jerzy chorych. Wiele razy, razem z nim odwiedzaliśmy chorych kapłanów w ich domu, czy szpitalu. Odwiedzał chorych w parafii. Wezwanie do chorych, nieraz furmanką, zimą czy latem, przerywało nawet najpilniejszą, zaplanowaną pracę. Jechał wówczas niezwłocznie, aby nieść pomoc sakramentalną i ludzkie współczucie. Sam chory, rozumiał chorych i chorzy wyczuwali u Niego kochające serce.

Nie był luminarzem słowa, ale chętnie słuchanym kaznodzieją. Mówił krótko, konkretnie, obficie czerpiąc z Pisma Świętego i podając konkretne rady i wskazania.

Zawsze był dyspozycyjnym. Dla każdego miał czas, dzielił się swoimi przemyśleniami i doświadczeniami. Zawsze można było na Niego liczyć. Dyspozycyjny w Kongregacji, usłużny w diecezji i dekanacie. Oddany duszpasterstwu Sióstr Zakonnych.

Ojciec Jerzy kochał i szanował kapłaństwo. Nie rozstawał się z sutanną. Nigdy nie widziałem Go w cywilnym ubraniu. Konserwatywny w stroju i wielu poglądach, lecz tolerancyjny wobec innych.

Kochał kongregację Studziańską, przeżył w tej Wspólnocie całe kapłaństwo. Pozostawił tu ślad 40 lat swojej kapłańskiej działalności. Zmarły Ojciec Jerzy kochał parafię Studziańską. Z ogromnym szacunkiem zwracał się do każdego człowieka. Cenił lud prosty, zmęczony, ale żyjący Bogiem na co dzień. Ludzie odnosili się do Niego z wielkim szacunkiem, miłością i wdzięcznością.

"Sam Pan był Jego Przewodnikiem"dając Mu wiele radości i doświadczeń. Cenił swoje powołanie. Fundament człowieczeństwa i kapłaństwa budował na silnej wierze oraz miłości do Boga i ludzi. Wzorem była dla Niego Najświętsza Maryja Panna. Zabiegał aby Sanktuarium Studziańskie otrzymało przywilej codziennej Mszy Świętej o Matce Bożej. Gdy Ksiądz Prymas przychylił się do tej prośby, z radością odprawił Msze święte wotywne, czcząc Maryję w różnych tajemnicach Jej życia.Jego ulubioną modlitwą był różaniec. Odmawiał go nieustannie. Siedząc w konfesjonale, modlił się na różańcu; podróżując trzymał różaniec w ręku i nawet w ostatnich dniach choroby różaniec był Jego przyjacielem.

Gdy w sobotę, na drugi dzień po odwiezieniu do szpitala, odwiedziłem Go w szpitalu w Opocznie, prosił, abym podał mu przywieziony ze Studzianny Jego różaniec. Wziąwszy go do rąk, najpierw z jakimś wielkim nabożeństwem, jak największą świętość, ucałował ów różaniec. Gdy znowu w poniedziałek odwiedziliśmy Go z Ojcem Antonim Jakubczykiem, spał, ale różaniec znajdował się w zasięgu ręki – był świadectwem, że On się na nim modlił.

O miłości i nabożeństwie Ojca Jerzego do Maryi, świadczyć mogą również Jego listy. Każdy z nich kończył: "Czułej opiece Niepokalanej polecam".

Cechą wyróżniającą Go była Jego niezwykła cierpliwość. Cierpliwość w chorobie, w dniach doświadczeń, ale także w ostrych dyskusjach czy nabrzmiałych problemach. Cierpliwość nie pozwalała Mu narzekać, szukać taniego pocieszenia; była też tą cnotą, którą mógł załagodzić niejeden zarysowujący się konflikt. Umiał cierpliwie czekać, aby w odpowiedniej chwili skutecznie zadziałać.

Pod koniec życia Opatrzność Boża dała Mu jeszcze jedno trudne doświadczenie, które pozostało aż do śmierci w Jego sercu. Choć nigdy się nie skarżył, nie narzekał, nie rozgrzebywał przeszłości, jednak widać było, że cierpi. We wrześniu 1983 r. w czasie Wizytacji Kanonicznej poproszono Go o złożenie rezygnacji z przełożeństwa. Bez oporu i wahania złożył ją. Wieczorem poszliśmy na spacer. Ojciec Jerzy zwykle oszczędny w słowach, wówczas zaczął mi przypominać o trudnych dniach jakie przeżywała Kongregacja Studziańska. Sięgał pamięcią w głąb historii, przywoływał różne postacie kapłanów i wydarzenia. Słuchałem Go z wielką uwagą, zastanawiając się czym spowodowana jest ta Jego wielka lekcja kongregacyjnej przeszłości. Pod koniec rozmowy powiedział mi o zarzutach jakie Mu postawiono, o planowanych zmianach; zdecydowanie i stanowczo sprzeciwił się mojemu odejściu ze Studzianny, lecz zaraz złagodził swoją wypowiedź: Niech ksiądz pamięta, że wszystko co daje Pan Bóg jest dobre. Niech się dzieje Jego wola".

Nie do mnie należy ocena "tamtych dni". Na pewno właściwą ocenę zdarzeń dał Pan Bóg. Ufam, że Ojciec Jerzy doczeka się fachowo opracowanej przez kompetentnych ludzi biografii oraz pełnej oceny życia i wkładu w Kongregację Studziańską, bez subiektywnego spojrzenia i odczucia. Wspominam to z potrzeby serca, gdyż

ostatnie słowa jakie do mnie wypowiedział przed śmiercią, przypominały tamtą, jedyną w swojej treści naszą rozmowę.

Gdy w poniedziałek wieczorem odwiedziliśmy Go w szpitalu w Opocznie bardzo cierpiał, widać było jak gaśnie Jego życie (umarł w środę wieczorem). Na pożegnanie ucałowałem Jego dłoń. Czyniłem to często, nie wstydzę się tego, to była ręka kochającego Ojca, wielekroć błogosławiąca mnie, gdy wyjeżdżałem na prace rekolekcyjne, gdy Go o błogosławieństwo prosiłem. Następnie ucałowałem Jego policzek; szepnął mi wówczas: "Ksiądz powinien być w Studziannie". To był wyrzut z Jego strony wypowiedziany na pożegnanie. Wiem, że nie spełniłem wielu nadziei jakie we mnie pokładał, że wiele razy mieliśmy odmienne zdanie o różnych sprawach; ale ten wyrzut przyjąłem jako jeszcze jeden objaw Jego ojcowskiej i braterskiej miłości. Dlatego tak trudno było mi pisać o Nim. Wierzę, że będąc w gronie Świętych Kapłanów, modli się za mnie i wybaczy mi, że opublikowałem tajemnice ukryte w sercu. Gdybym tego nie napisał, wspomnienie o Nim byłoby niepełne i nieszczere.

Tak jak cicho żył, tak cicho, spokojnie, przygotowany na spotkanie z Panem odszedł do wieczności, zamykając swoją ziemską pielgrzymkę w Wielkim Tygodniu, w dniach gdy Kościół wspomina Tajemnice Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Wiecznego Kapłana Jezusa Chrystusa.

Pogrzeb Jego odbył się w Poniedziałek Wielkanocny z udziałem Księży Biskupów Józefa Rozwadowskiego z Łodzi i Mariana Zimałka z Sandomierza, przy licznym udziale kapłanów diecezjalnych i zakonnych, Sióstr Zakonnych i rzeszy ludzi z parafii Studziańskiej i okolic. Spoczął na Cmentarzu Studziańskim, gdzie oczekuje Zmartwychwstania. "Sam Pan był Jego przewodnikiem". Wydaje mi się, że w tych słowach Autora natchnionego, można zamknąć i po ludzku ocenić Ojca Jerzego, oddając hołd Jego kapłaństwu i człowieczeństwu.

ks. Włodzimierz Dratek COr

Ks. Kazimierz Wasela
1931 – 1989

Pośmiertne wspomnienia o ks. Kazimierzu Waseli COr.

Na historię każdego życia ludzkiego składa się wiele rzeczy i wiele elementów. Wszak to przecież parę dziesiątków lat tego życia. Na tę historię składają się czyny piękne i szlachetne, ale też i słabości człowiecze, bo nikomu z ludzi nie są one obce.

Ze ściśniętym sercem i z łzą wzruszenia w oku pożegnała – pod przewodnictwem ks. bpa Fortuniaka i ks. Infuata Czajki – parafialna wspólnota Poznania – Świerczewa 30 czerwca 1989 r. człowieka naprawdę szlachetnego. Pożegnaliśmy kapłana oddanego całym sercem Bożej sprawie, Kościołowi i Ojczyźnie. Pożegnaliśmy Ojca dużej rodziny parafialnej, której był twórcą i której poświęcił blisko 20 lat swego życia i całą miłość kapłańskiego serca. Parafia w dniu 30 czerwca powiedziała Mu swoje

wielkie "dziękujemy". Powiedziała z wywieszonymi z balkonów i okien sztandarami okrytymi kirem żałoby, powiedziała wypełnioną po brzegi świątynią parafialną, modlitwą żarliwej komunii św. swoje wielkie "dzięki Ci pasterzu" i swoje "żegnaj". Następnego dnia pożegnała Go społeczność świętogórska z rzeszą wiernych i kapłanów pod przewodnictwem ks. Infuata Czajki oraz wszyscy inni w jakikolwiek sposób z Nim związani.

Kazimierz Wasela urodził się 9 stycznia 1931 r. w Jarocinie z rodziców Jana i Marii Walczak. Od wczesnych lat życia doświadczał go Pan łaską swego krzyża, chyba po to, by usposobić go do stawiania czoła późniejszym obowiązkom i związanym z nimi trudom. W 1940 r. traci ojca, który ginie zamordowany przez hitlerowskich siepaczy w koncentracyjnym obozie Buchenwald. Pojedzie tam wiele lat później Kazimierz już jako kapłan, by pójść po krwawych śladach swego ojca, by znaleźć choćby odrobinę popiołu z jego ciałą. Nie znalazł, bo nie mógł, ani śladów, ani popiołu. Ślady zatarł czas, a popiół wiatry rozniosły po obcej ziemi. Pozostała mu tylko serdeczna modlitwa za ojca bohatera, który jako urzędnik Kolei Państwowych wydał się niebezpieczny dla tysiącletniej Rzeszy. Jak w rodzinnym domu wyglądały czasy wojny nie wiadomo. Wszyscy wiemy, że były to czasy wyjątkowej pogardy, czasy głodu, poniewierki i ustawicznego zagrożenia widmem śmierci. Po zakończeniu wojny posyła go matka do szkoły podstawowej, a po jej ukończeniu do Gimnazjum w Gostyniu. Po przybyciu do Gostynia zamieszkał w internacie mieszczącym się w domu Księży Filipinów, w ten sposób nawiązane zostały pierwsze kontakty między nim a Świętogórskim Oratorium. To tu zakiełkowało, ale też rozwinęło się ziarno powołania kapłańskiego i służenia Bogu, Maryi i ludziom z tego właśnie miejsca i w tym Zgromadzeniu.

29 czerwca 1951 r. Kazimierz Wasela, po ukończeniu Gimnazjum Gostyńskiego, składa prośbę do Kongregacji Księży Filipinów na Świętej Górze o przyjęcie go w szeregi jej członków, gdyż jak sam pisze w podaniu: "Pragnę pójść do kapłaństwa i oddać się pod szczególniejszą opiekę Matki, służyć Jej i służyć ludziom". Został przyjęty. Cieszył się on, cieszyła się jego matka. Cóż może być większą radością dla matki nad powołaniem do kapłaństwa syna? Nie danym jej było jednak doczekać święceń kapłańskich i udzielić matczynego błogosławieństwa synowi i w zamian otrzymać jego, kapłańskie błogosławieństwo. Kiedy był na drugim roku studiów, Bóg odwołuje matkę do siebie. Zostało ich dwoje bardzo młodych ludzi – on i jego siostra. Ale Bóg czuwał. Przygarnęły ich dobre, kochające serca wujostwa. Kazimierz został kapłanem ku radości wujostwa na ziemi, a w niebie bohaterskiej matki i ojca męczennika.

W kapłańskim życiu konsekwentnie wypełniał to co w prośbie o przyjęcie do Kongregacji było motywem, a w życiu drogowskazem i ideą przewodnią: "służyć Matce Bożej i służyć ludziom". Rzeczywiście cała jego postawa była służbą. Księdzu Kazimierzowi obce było słowo: "Nie". Znał tylko jedno: "Tak – zrobi się". Zawsze skromny, zawsze cichy, zawsze koleżeński, nigdy na nikogo nie podnoszący głosu, bardzo kontaktowy; oto niektóre tylko cechy zjednujące mu sympatię wszystkich.

W Kongregacji Gostyńskiej pełnił różne funkcje, a szczególnie prokuratora gospodarczego zwanego w Kongregacji ministrem i to w czasach trudnych, a nie rzadko szykan ze strony władz komunistycznych. Ksiądz Kazimierz umiał sobie radzić. Przez łatwość kontaktu z ludźmi, przez znajomości jeszcze z lat szkolnych,

miał rozległe tak zwane wejścia. Wiedzieli o tym inni, a szczególnie księża proboszczowie, więc przybywali do niego z różnych stron naszej Archidiecezji z prośbą o pomoc w załatwieniu spraw urzędowych, a przede wszystkim natury gospodarczej (materiały budowlane i inne).Ksiądz Kazimierz nie odmawiał swej pomocy nigdy i nikomu. Wierny idei służenia, na miarę swoich możliwości służył.

Gdy zaproponowano mu, by dla dobra powstającej Kongregacji w Tomaszowie Mazowieckim i na prośbę Ordynariusza diecezji łódzkiej bpa Józefa Rozwadowskiego objął funkcję wikariusza w parafii św. Wacława, uczynił to bez słowa sprzeciwu; a kiedy zaproponowano mu z kolei stanowisko proboszcza w nowoformującej się parafii Poznań – Świerczewo, poszedł do Poznania, w którym pozostał aż do końca życia. Tu przede wszystkim dał się poznać jako nieprzeciętny organizator pięknej dzisiaj parafii na obrzeżach miasta, dokąd bali się zaglądać nawet stróże porządku publicznego. Tu pozostawił po sobie piękną spuściznę, budując dla parafii ładny, o oryginalnych, współczesnych kształtach architektonicznych kościół pod wezwaniem Matki Kościoła z całym zapleczem sal katechetycznych i innych pomieszczeń. Tu rozbudował odkupiony uprzednio dom, adaptując go na mieszkanie dla pracujących przy parafii Księży Filipinów, zamierzając w dalszej przyszłości pobudować nowy w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła. Tu przede wszystkim budował ten inny, nie materialny Kościół, niewymierny oceną ludzką, bo tkwiący w najgłębszych pokładach dusz, na których wycisnął piętno swej kapłańskiej posługi.

Długo można by jeszcze wymieniać cnoty i zalety charakteru Zmarłego; zasługi dla Kościoła, Kongregacji czy Narodu, ale trudno sypać kwiaty pochwał na jego trumnę, bo czymże jest pochwała ludzka wobec ołtarza i zbroczonego krwią ofiarną Chrystusowego krzyża? Czymże jest pochwała ludzka dla duszy, która stanęła na boskim sądzie i usłyszała nieodwołalny i ostateczny wyrok.

Przestało bić serce zacnego i zdolnego kapłana, który przez trzydzieści parę lat dźwigał słodkie, ale jakże czasami trudne jarzmo Chrystusowego kapłaństwa. Entuzjastyczna radość trwa krótko: radość Taboru i hosanna palmowej niedzieli trwają krótko, a potem pozostaje krzyż. I ten krzyż wieloletniej choroby, i tej ostatniej jakżeż nie oczekiwanej. Obecnie jest już na drugim brzegu. Odszedł do wieczności w dostojeństwie Chrystusowego kapłaństwa, które kochał i któremu pozostał wierny aż do końca. Odszedł kapłan woli Bożej poddany. Sądzić należy, że Ojciec Niebieski okazał mu swoje miłosierdzie, Najwyższy Arcykapłan Jezus przygarnął go do swego serca, a Świętogórska Pani, której służył i przy której trwał wierną, kapłańską miłością była dla niego orędowniczką u Boga i błogosławiony owoc swego żywota mu okazała.

ks. Michał Smagacz COr

Wymodlony przez Swoją Matkę

Minął już jakiś czas od śmierci śp. Ks. Kazimierza Waseli, ale stale nie daje mi spokoju myśl, by o nim nie wspomnieć, a zwłaszcza o jego śp. Matce, którą dobrze znałem. W czasie okupacji w naszych stronach rodzinnych był kościół zamknięty. Na Mszę św., modlitwy, zbieraliśmy się w jednym domu; był tam też Najświętszy Sakrament umieszczony w kredensie. Tam codziennie po pracy spotykałem Matkę śp. Ks. Kazimierza jak długo, na dwóch kolanach, modliła się gorliwie. Bywało tam tylko kilka osób lub bywaliśmy sami; jakże ta Dobra Matka rozmodlona, spracowana, obcowała z Bogiem i tam, przed obliczem Pana wymodliła łaskę kapłaństwa, bo skoro tylko skończyła się wojna, syn poszedł do liceum, dostał się do Konwiktu na Świętej Górze i już pozostał do końca życia Filipinem.

Mam tutaj jeszcze jeden dług wdzięczności do śp. Kazia; to on mi powiedział o Świętej Górze, o Księżach Filipinach i zachęcił abym tam przyszedł – posłuchałem go i tak razem włączyliśmy się w Zgromadzenie XX. Filipinów. Jaka radość była jego Matki, że idzie syn do kapłaństwa; jak ona Bogu za to dziękowała, jak i mnie wspierała swymi modłami; to była dla nas taka cudowna baza pomocy. Z Matką Ks. Kazia znałem się od lat dziecięcych, rodzice jej mieszkali na naszej ulicy, byli dla nas jak najbliższa rodzina. Przyszło potem cierpienie – choroba; Matka ten czas również ofiarowała za swoje dzieci – była jeszcze córka – ale nie doczekała się tego, by cieszyć się życiem kapłańskim syna. Pan zabrał ją do siebie, ale ona stale czuwała.

Wychowywała dzieci sama, mąż zginął w czasie okupacji. Dla dzieci była kochającą Matką. Gdy kościół po wojnie był już otwarty, znów często widziałem ją adorującą Jezusa, rozmodloną, skupioną, czasem płaczącą. Była dla ludzi zbudowaniem i wzorem, kochali ją wszyscy za jej dobroć serca.

Ile my kapłani zawdzięczamy Matkom, ile mamy długu wdzięczności za ich niepojętą miłość. Ja też nie mam słów, aby wyrazić czym była dla mnie moja śp. Matka i tak samo jak Ks. Kaziu i ja zawdzięczam swoje kapłaństwo Bogu i Matce Najświętszej ale wymodlone to było i cierpieniem otoczone Kochanej Matki. Nie doczekała się mego kapłaństwa lecz przed śmiercią powiedziała do Siostry, że w wieczności nie ustanie w modłach, aby dla mnie wyprosić Kapłaństwo. Miałem w tym czasie bardzo wiele trudności i dzięki Jej wstawiennictwu przed Bogiem w wieczności, jej pragnienie szybko się spełniło i do dzisiaj moje Kapłaństwo jest coraz piękniejsze bo wspiera je miłość Matki spotęgowana miłością wieczną.

ks. Tadeusz Nagel COr

Ks. Edward Zieliński
1922 – 1994

Szedłeś śladami św. Filipa

Nasz Założyciel św. Filip, radosny i rozmodlony, jest dla nas niedoścignym wzorem jak żyć, jak pracować, jak radość dawać światu. Wielu naszych ojców szło Jego śladami i nadal są filipini pełni radości. Chcę w tych wspomnieniach wykazać jaką drogą szedł przez swoje życie nasz współbrat Ks. Edward Zieliński. Bywa tak, że chwalimy dzień po zachodzie słońca, a człowieka po śmierci – nie chcę jednak tutaj trzymać się tej zasady – ale tak z serca, jako długoletni przyjaciel śp. Edwarda, znając go z bliska, kilka szczegółów z jego życia opisuję.

Kiedy po wojnie przyjechałem na Św. Górę do Konwiktu, pierwszym spotkanym kolegą był Ks. Edward – nigdy nie zapomnę jak serdecznie mnie witał, jak zajął się wszystkim: gdzie będę mieszkał, jakie tu są przepisy – wydawało się, że znamy się od wielu lat, a to było pierwsze spotkanie. Od tej chwili zawsze zabierał mnie na modlitwy do Bazyliki, sadzał obok siebie i modlitwy prowadząc, mnie zlecał śpiew, gdyż nie bardzo był pewien swego głosu. I tak długie miesiące wspólnie wielbiliśmy Pana i Naszą Świętogórską Matkę. Jako opiekun, senior konwiktu, był serdecznym druhem dla każdego – twarz miał uśmiechniętą, zawsze gotowy pomagać. To nas z nim łączyło i życie konwiktowe – pełne radości, śpiewu, różnych imprez – było jego troską. Ponieważ dział rozrywki i kultury zlecono mnie, byłem zawsze wspomagany jego przyjacielską dłonią. Było nam w tych latach tak dobrze, że nie sposób o tym zapomnieć. Ksiądz Kokociński, nasz opiekun, również był za tym, aby jak najwięcej radości św. Filipa było wśród nas. Ogniska urządzane z okazji uroczystości św. Filipa były znane na całą okolicę. Konwiktorzy brali w tej akcji żywy udział. Ks. Edward pomagał nam tę radość siać. Był koleżeński i dlatego kochaliśmy go jak brata. Po maturze, kiedy odjechał do Tarnowa, bardzo nam go brakowało. Dalsze z nim spotkania, już jako kapłanem, również pełne były ducha naszego Ojca św. Filipa. Lubił radość, śpiew, humor; to mu pomagało w pracy duszpasterskiej. W Bytowie, gdzie spędził wiele lat, nadal cechowała go radość świętofilipowa. Był kochany przez parafian za swoją szczerą przyjaźń i pogodne usposobienie. A gdy czasem cień smutku pojawił się w jego życiu, nigdy długo nie trwał. Wychowany w cieniu świętogórskiej świątyni przez kochanych, dobrych rodziców. Ojciec jego był długie lata kościelnym sługą wiernym Maryi. Matka rozmodlona, pogodna. To wszystko pozostawiło w nim ślad miłości ku Bogu i człowiekowi, dlatego jego życie pociągało innych do szkoły radości św. Filipa. Jego młodszy brat Ks. Marian, na pewno patrząc na szczęście swego brata poszedł jego śladem – też został Filipinem. Dobroć jest zaraźliwa i radość jest zaraźliwa, stąd każdy z nas powinien apostołować Bożą i ludzką radością.

Szedłeś Drogi Przyjacielu tą drogą radości filipowej, na niej wiodłeś rzesze ludzi do Boga, tej radości użyczałeś innym, stąd pozostaniesz w naszej pamięci jako Filipin wierny swoim obowiązkom, jako serdeczny przyjaciel, jako apostoł radości. W tej radości zastygło Twe ciało – pogoda oblicza Twego została nawet po śmierci.

Wypraszaj dla nas, synów Filipa – już tam przed Tronem Boga – ducha jedności, serdecznej radości, gorliwości w pełnieniu obowiązków z całą miłością i oddaniem Bożej sprawie w zbawianiu dysz. Szedłeś wiernie śladami św. Filipa, teraz razem z nim wypraszaj nam pozostałym świętość życia i nigdy nie gasnącą pogodę ducha. Pamętać będziemy o Tobie, a Ty za nami wstawiaj się bez przerwy, aby życie kapłańskie, braterskie w Kongregacji było radością nieba stale płonące. Spoczywaj w Bogu w wiecznej krainie nieskończonej miłości i radości, Drogi nasz Przyjacielu.

Błażejewo – Gostyń, 24.02.1994.
ks. Tadeusz Nagel COr

Ks. Jan Tomczak
1939 – 1994

Owoc dojrzały
55 lat życia ks. Jana Tomczaka COr.

1. Życie – budowanie domu zamieszkania

Nurtów mijania nie zatrzymasz. Wszystko bowiem ma swój czas rodzenia, rośnięcia i potem owocobrania. Owoc zaś to nie kwiat, to dojrzałość. Do kwiatu się rośnie i rozwija – do owocu zaś dojrzewa. Czas pogrzebu, to owocobranie przez nas i Człowieka w Trumnie, który, tak jak wszyscy ludzie – obciążony skutkami grzechu pierworodnego.

Urodził się w małżeństwie Wincentego i Katarzyny Tomczaków, po braciach: Stanisławie, Jerzym i Tadeuszu w Bugowie k/Łobżenicy (pilskie) w roku 1939, w dzień św. Jana Nepomucena i dano mu imię: Jan. Rozpoczął ŻYCIE. ŻYĆ to – w myśl Ewangelii św. Mateusza – budować życie. Budować trzeba na czymś i ku czemuś.

2. Fundament budowania

Budować można na fundamencie lub bez niego. Ks. Jan budował swoje życie na fundamencie. Fundamentem tym był Bóg – bo w testamencie swoim napisał: "Trudne było może życie moje, w Bogu MOC I NADZIEJA". Trudne budowanie życia od samego początku rozpoczęło się, gdyż w czwartym miesiącu Jego życia, a 1 września 1939 r. rozpoczyna się druga wojna światowa. Sprawia to, że okupacyjny czas przeżywa jako dziecko wraz z rodzicami na wygnaniu w obozie dla rodzin polskich w Potulicach k.Nakła, potem jeszcze w kilku miejscach na terenie ziemi złotowskiej. Wolności doczekał się w Kunowie k.Łobżenicy. Po zakończeniu działań wojennych powrócił z rodzicami do rodzinnego Bługowa. Ojciec Jego urodził się w Poznaniu w 1899 r. i tu mieszkał, w Bługowie zaś osiadł w 1924 r. i tu założył rodzinę, poślubiając Katarzynę Brzezińską z Kunowa k.Łobżenicy, która w roku 1951 umiera, kiedy Jan ma lat 12. Będąc najmłodszym spośród czwórki chłopców z tegoż

małżeństwa, najbardziej odczuł brak Matki. Wspominając ten okres życia podkreślał ogromną troskliwość i serce swego Ojca Wincentego. Później – Dobra Matka, jak nazywał Stefanię Kowalską, która została żoną Wincentego Tomczaka (ojca), tworzyła ciepły dom o zdrowej atmosferze religijnej. Ten fragment życia ks. Jan wspominał bardzo często, łącząc go z parafią – jako Rodziną Ducha. Szczególnie święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy oraz Patrona Imienia – św. Jana Nepomucena, były czasem wędrówki w tę przeżytą wówczas Rzeczywistość. Więcej – wiele razy z tego się zwierzał, że kiedy jest bardzo zmęczony to zagłębia się w fotel i wędruje w tamten czas i w tamtejszą przestrzeń i odzyskuje na nowo siły. Potwierdzeniem były – choć nie częste ze względu na odległość, lecz intensywne – odwiedziny, z których wracał z odnowionymi siłami. Była to widać miłość odwzajemniona, co objawiło się przyjazdem co dziesiątego Parafianina – Rodaka wraz z Księdzem Proboszczem na pogrzeb ks. Jana.

Wykształcenie średnie zdobył w Liceum Ogólnokształcącym w Łobżenicy, zakończone maturą w 1958 r. Tam też dał się poznać jako mający talent malarski. Mimo propozycji studiów w tym kierunku, wybrał kapłaństwo. Studia w Seminarium Duchownym w Gnieźnie rozpoczął w 1958 r. Wraz z innymi klerykami musiał opuścić Seminarium na dwa lata (1961-63) i odbyć służbę wojskową w jednostce kleryckiej. Nie był to łatwy czas w Jego życiu. Święcenia kapłańskie z rąk Ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego otrzymał 5.06.1965 r. w Gnieźnie.

Ropoczęła się Jego służba kapłańska. Zaczynając od wikariatu w parafii Wysoka k.Wyrzyska, poprzez Janowiec Wlkp., gdzie poznaje się z Księżmi Filipinami, prowadzącymi tam misje św., co staje się początkiem myślenia o wstąpieniu w szeregi Księży Filipinów. Jest jeszcze kolejny wikariat w Inowrocławiu, skąd na własną prośbę otrzymuje zwolnienie z archidiecezji gnieźnieńskiej i wstępuje do Kongregacji św. Filipa Nerii na Świętej Górze w Gostyniu dnia 1 sierpnia 1969 r., gdzie też przeżył te ostatnie 25 lat swego życia.

3. Projekt budowamia = Norma – Ethos

To rodzinno – parafialne doświadczenie doznanego dobra stało się i miejscem i czasem, które pozwoliły życiu Jana zapuścić korzenie i uskrzydlić, zaowocowało zaś w kapłaństwie ks. Jana. Kapłaństwo od samego początku pojął i realizował jako Służbę Bogu, którego Ojczyzną jest człowiek na Jego obraz stworzony. Ks. Jan kapłańskiej służby nie ograniczał tylko do celebry tego co z obowiązku kapłaństwa płynie, lecz usiłował życiem ofiarnym – często bez reszty – przełożyć Chrystusowe kapłaństwo na służbę człowiekowi potrzebującemu. Powiedział: "doświadczyłem w dzieciństwie co znaczy być w potrzebie". Od początku swego kapłańskiego życia zajął się ludźmi niesłyszącymi (głucho – niemymi). Nauczył się w tym celu języka migowego, aby i Oni mogli radować się z poznania Ewangelii. Nie zawęził jednak tej posługi do przekazu Ewangelii słowem – językiem, lecz przełożył ją na język serca. Był z Nimi w całej ich biedzie: załatwiał jedzenie, szkoły, pieniądze, pracę, mieszkanie, lekarza, szpital, a nawet Dom Starości, kiedy w tym końcowym etapie życia człowiek nie miał gdzie głowy skłonić. Był dla nich cały: na każdym etapie, i ze swoim pieniądzem również, jeśli taka konieczność była. Zaświadczyła o tym duża ich ilość na pogrzebie oraz wypowiedziane wówczas przez tłumacza przemówienie. Zasada etyki Jego życia wypowiada się w słowach J. Słowackiego: "Nie za sobą z krzyżem Zbawiciela, ale za Zbawicielem z krzyżem swoim: ta jest zasada

wszech – harmonii w chrześcijaństwie, a tego specjalnościami jest rytm i akord właściwy".

W życiu człowieka, każdego z nas – bywają czasami takie chwile dłuższe, lub krótsze, że chce się z budowanego domu uczynić dla siebie tron, a wtedy dla tego celu to i Chrystusa się poświęci. Heidegger – filozof – przypominał, że Ethos – etyka, znaczy: budować dom zamieszkania dla człowieka. Chrystus przyszedł na ziemię i poświęcił swoje życie, aby ludzie mieli życie i mieli je w obfitości. Dlatego dał całego Siebie, a potem poszedł do Domu Ojca, aby tam przygotować zamieszkanie dla każdego z ludzi. Ks. Jan skoro poszedł za Chrystusem, stając się Jego kapłanem, to właśnie i dokładnie po to, aby ludzie mieli życie i mieli je możliwie obficie. Cenił człowieka i jego czas. Z szacunku dla człowieka był porządnym, aż czasem do rygoru wojkowego. Był romantykiem, uczuciowcem – miał tego świadomość. Dlatego obawiając się, aby Jego uczucie nie wzięło góry i zapanowało nad rozumem, niszcząc człowieka dla którego żył i poświęcał się, stąd z szacunku dla człowieka mówił "Nie" – choć bolało, a nawet odchodził, zostawiając właściwy dystans.

Dany mu przez Boga dar – talent malarski, użył dla chwały Pana, przez zrobione 300 znaczących dekoracji okolicznościowych (szczególnie Nawiedzenie Maryi w kopii wędrującego Obrazu MB Częstochowskiej) oraz 200 namalowanych obrazów o różnej tematyce, z których pewna ilość znalazła się i poza granicami Polski.

Ten talent – charyzmat malarski sprawił, że widział świat, życie w nim i człowieka w bogatej gamie kolorów i nie sprowadzał tego wszystkiego do jednego wymiaru – szarości. To Wszystko stanowiło dla Niego Sacrum. Kiedy zaś dostrzegał, że PROFANUM niszczy ten świat SACRUM, wtedy walczył o piękno. Bolało czasami obie strony. Był człowiekiem o jednym obliczu, tak jak wszystkie Jego obrazy, które malował i dekoracje które tworzył – tak różniące się w tematyce, ale zawsze czytelne autorstwa Jana Tomczaka.

4. Konsekwencja i porządek w budowaniu.

Dzisiejszy świat odkrywa na nowo cenę wierności. Wiele mówi się o wierności sobie. Ks. Jan rozumiał, że wierność sobie to wierność tym ideałom i wartościom, które człowiek uznał za swoje. Był wierny sobie – Temu co wybrał i konsekwentny wobec tego co wybrał. Mawiał: "mężczyzna podjętej decyzji nie żałuje, nie płacze nad sobą, lecz idzie do przodu. I szedł, choć bolało. Jego życie to wierność – jako cnota, która przejawiała się w niezliczonych drobiazgach, które dzięki wierności nabierały znaczenia, przestawały być drobiazgami, a nadały życiu znamię wielkości. Rodziło się to z wrażliwości na piękno, a piękno domaga się porządku.

Cenił nade wszystko kompetencję wynikającą z wiedzy, ale artykułowaną w całej osobowości człowieka. Cenił Mistrza z czynu, a nie ze słów. Jeśli takiego spotkał, był posłuszny: chciał służyć mądrości, a nie głupocie.

Szanował kobiety – starał się być wobec kobiety nawet szarmancki, ale wierzył do końca tylko jednej. "To co Ewa nagrzeszyła, Maryja naprawiła". I Tej – ze Świętej Góry – Róży Duchownej – służył i w Jej szkole był przez 25 lat, budując Dom Zamieszkania – owoc Dojrzały z życia swego, o którym w testamencie pisał:

"Trudne było może życie moje, w Bogu Nadzieja -
od ludzi przebaczenie i wyrozumienie -
wszystkim przebaczam".

Stąd: "Jakkolwiek, to nad rozum,
O Maryjo Panno,
Godne jest, iżbyś
Duszom pięknie dobrych ludzi
Była Matką",

dlatego zanieś
duszę ks. Jana
przed Ojca Tron -
a my wołamy:
Dobry Jezu – a nasz Panie,
Daj Mu wieczne spoczywanie.

ks. Eugeniusz Hanas COr

Pamięci ks. Jana Tomczaka z wyrazami podzięki za serce okazane mej pracy kapłańskiej w Błażejewie

"Niech Aniołowie zawiodą Cię do raju, a gdy tam przybędziesz niech przyjmą Cię męczennicy...
i wprowadzą do Miasta Jeruzalem..."

Ile te słowa mają w sobie głębi, wiary, radości i szczęścia. Żegnaliśmy Ciebie Bracie naszej Wspólnoty tą modlitwą...

Wiele razy w swym życiu ukazywałeś piękno Ziemi Świętej, piękno Jeruzalem w swej pracy artystycznej z okazji świąt Narodzin Pana czy Zmartwychwstania. Twoja wizja tych miejsc była zawsze żywa, niepowtarzalna, Boża.

Przez wiele lat kapłańskiego życia zdobiłeś świątynie Pana w wielu parafiach, a na Świętej Górze pozostanie wiele pamiątek Twoją ręką uczynionych. Zostawiłeś też ślad Twojej pracy w kościele naszym filipińskim w Błażejewie, gdzie przez kilka lat pracowałeś. Kronika Twoją ręką pisana odsłania początki duszpastwrstwa w tym kościele. Kontynuują ją nadal i dzięki temu pozostanie dla potomnych ślad działania dla zbawienia dusz i dla piękna zabytkowego kościoła. Wśród wielu pamiątek jest obraz św. Jakuba Apostoła patrona naszej parafii, Twoją ręką malowany, który podczas każdego odpustu zdobi polowy ołtarz, a na stałe jest ozdobą Oratorium w Błażejewie. Ty pierwszy wprowadziłeś wizytę duszpasterską, tzw. kolendę oraz dałeś początek pracy parafialnej, bo do 1972 był to tylko nasz kościółek przy majątku, służący ludziom tam pracującym. Ty przekazałeś mi dalszą pracę wśród wiernych i od 1973 r. już tutaj przebywam.

Nasza wspólnota pamiętać będzie o Tobie w modlitwach przed Panem i liczymy, że Ty nas również wspierać będziesz w wieczności.

ks. Tadeusza Nagel COr.

Świętogórscy Bracia

Po wielu latach pobytu w Kongregacji dużo Kapłanów i Braci żegnałem; staram się o nich pamiętać w modlitwie i uważam za święty obowiązek napisać o nich jakieś wspomnienia. Każdy z nich zostawił dla Kościoła Świętego i dla Kongregacji wielkie, ofiarne życie – pełne modlitwy, pracy, oddania.

Umarłych wspominamy jakiś czas po śmierci, potem z biegiem czasu zanika pamięć o nich – a nie powinno tak być, bo każdy z nich dał wiele dobrego. Są oni dla nas wzorem w niejednej sprawie, od nich musimy uczyć się ofiarnej miłości. Mówię tutaj nie tylko o kapłanach – ile w naszych domach było świętych, dobrych braci. Wspomnę tutaj znajomych mi śp. Brata Stanisława Rygielskiego, który wiele lat na Świętej Górze pracował, modlił się pokutował; jego miłością było Pismo Święte codziennie czytane, cześć do Matki Bożej, Świętogórskiej Pani.

Znaleziono po śmierci włosiennicę, którą nosił śp. Brat Marcin – dobry, zatroskany o Dom Gostyński. Śp. Brat Marian – wesoły, pogodny, sumienny i życzliwy każdemu, pracowity jak mrówka. Śp. Brat Antoni – spokojny, cichy, sumienny, dbający o kościół i cały dom. Gdy byłem w 1947 roku w nowicjacie na Świętej Górze, codziennie po obiedzie wstępował do mnie do kancelarii śp. Brat Rygielski i snuł opowiadania o życiu Świętej Góry – takie piękne, żałuję, że ich wtedy nie spisywałem – to była żywa chodząca historia. Jak znał życie tutaj płynące – kapłanów, braci – z jaką on troską o wszystkim mówił, jak myślał o naszych klerykach, jak ich ostrzegał przed złudami świata; to była epopeja wspaniałych wynurzeń, pełna dobroci i miłości. Z jaką troską wyrażał się o konwiktorach przebywających wtedy na Świętej Górze, jak pragnął dla nich dobrego życia.

My za mało uczymy się, od wokół nas żyjących, czerpać z doświadczeniaich wszelkich prac, doznań, ofiary, a przecież każdy zostawia swoją żywą księgę – wielki wkład w Chrystusowej i ludziej rodzinie. Cześć pamięci tych co nam służyli i uczmy się od nich roli służebnej bo tam jest sedno świętości.

Błażejewo, 25.02.1994.
ks. Tadeusz Nagel COr

"Witaj Maryjo... nadziejo nasza witaj"
Cześć Ich Pamięci!

bracia kochani
filipińscy Bracia
ileż my długu
wdzięczności mamy
za wasze ciche
ofiarne życie
za trudy znoje
dla Kongregacji
często za mało
was doceniamy

czasem dopiero
przy pożegnaniu
wspomni słowami
ktoś o Was bracia
a jakże często
nie widzimy
waszego trudu
waszej miłości
wspominam z łezką
was Kochani
na Św. Górze
przez długie lata
w mrówczej posłudze
ofiarnych dobrych
Bogu oddanych
Najśw. Pannie
tu spalaliście
swoje dnie i noce
Bracie Marcinie
pracowity szczery
Bracie Marianie
życzliwy serdeczny
Bracie Antoni
cichy i pokorny
jaki z Was dla nas
jest wzór ofiary
Bracie Stanisławie
rozmodlony wielce
starłeś swe dłonie
dla Świętej Góry
czym się z nas każdy
za to wywdzięczy
jak spłacić mamy
dług ofiary wielkiej
słów tu nie starcza
modlitwy mało
aby za serca dobroć
oddać co każdy
po sobie zostawił
ile potu trudu
nocy nieprzespanych
Niech Boża Matka
wybłaga Wam radość
życia wiecznego
po znojach na ziemi
niech was umieści
w niebiosów krainie
wśród wielkich świętych
za miłość Waszą
wiarę i ofiarę
tutaj poniesioną.
Pamięci Naszych Braci
pracujących na Świętej Górze
oraz oddając hołd
wszystkim Braciom
Filipińskim
całym sercem te słowa
poświęcam

ks. Tadeusz Nagel COr
Błażejewo, 25.02.1994 r.

"Niech Aniołowie zawiodą Cię do Raju"
Piękne słowa pożegnalne dla naszych zmarłych.

"Niech Aniołowie zawiodą Cię..."

po ziemskim trudzie
pielgrzymce do nieba
dusza ulata w krainie
wiecznego szczęścia
tak i Twa dusza
Drogi Przyjacielu
na skrzydłach anielskich
w wieczność uleciała
żyłeś w kapłaństwie
w pracy utrudzenia
budowałeś drogi
dla zbawienia ludzi
budowałeś Panu
Świątynię w Poznaniu
tam sił wiele Twoich
i potu zostało

aż zmęczony pracą
cierpieniem dręczony
przeszedłeś po nagrodę
do Ojca niebieskiego
wspominamy Ciebie
jako filipina
i jako Kapłana
wiernego do końca
Niech Twoja dusza
radością się cieszy
szczęściem nieskończonym
w nieba krainie
i tam przed Panem
za nami się wstawiaj
byśmy w świętości
stale dojrzewali

Pamięci Ks. Kazimierza Waseli
serdecznego Kolegi – poświęcam

ks. T. Nagel COr

"Jam jest Zmartwychwstanie i Życie"

Ile te słowa potęgi mają
jak ufność budzą
wiarę i nadzieję
tym Chrystusowym
pięknym oświadczeniem
Żyłeś Księże Janie
całym życiem swoim
Pięćdziesiąt lat służby
w kapłańskim stanie
wiernym do końca

Bogu i Maryi
Na Świętej Górze
i w innych domach
stopy swe ścierałeś
w zbawianiu człowieka
nie liczyłeś czasuni godzin
żywota
szedłeś zapatrzony
w Bożej Matki postać
To Róża Duchowna

tu na Świętej Górze
uczyła cię kochać
pracować do końca
i tu się spaliło
twe życie w miłości

pozostaniesz zawsze
w pamieci serdecznej
w naszym Zgromadzeniu
w gronie wychowanków
Cześć Twojej Pamięci

Ks. Janowi Ratajowi
z wyrazami podzięki
poświęca wychowanek

ks. T. Nagel COr

"W Krainie życia będę widział Boga"

Zanim ujrzałeś krainę nieba
po ziemi szedłeś drogą nie łatwą
zapał kapłański miłość Ojczyzny
był dla Ciebie wielką świętością
byłeś solą w oku panującym w kraju
poszukiwany i ścigany długo
szukałeś miejsca pewnego życia
Bóg Cię skierował na Świętą Górę
tutaj do końca dni swoich trwałeś
Miłością wielką dla Ciebie była
Matka Kochana Świętogórska Róża
Ty jej obliczewielu przekazałeś
malując sercem Matkę i jej syna
drugim tematem z miłością dawanym
była Chrystusa twarz w męce konania
pozostawiłeś ślady miłowania
Bożej miłości Ofiarnej wielkiej
a gdy dla domu na Świętej Górze
zniknęły szanse na jego trwanie
rzucasz myśl dobrą wspaniałą
by rekolekcji dom tu otworzyć
natchnienie piękne i spełnione

bo od tej chwili dom ten się staje
bazą odnowy mocy ratunku
dla dusz co w życia drodze
Boga szukają Jego miłości
sam dajesz wiele dobrego słowa
dzielisz się duchem ofiarą
tu spalasz życie w pracy gorliwej
broniłeś stale ojcowskim sercem
prawdy dobroci i miłosierdzia
i ostrzegałeś przed złością diabła
który w ostatnich latach się nudził
bo wielu ludzi za niego działa
szedłeś przez życie pełen zapału
aż do ostatniej chwili trwałeś
u stóp Świętej Góry wezwany
poszedłeś w Wielki Czwartek
po wieczną nagrodę do Pana
Spoczywaj w Bogu Kapłanie
niech Maryja której służyłeś
wieniec nałoży w nieba krainie
za trudy życia oddania Bogu
w zbawianiu dusz nieśmiertelnych.

Świetlanej pamięci Księdza Leopolda Rachwała
dziękując za dobroć jego serca okazaną – poświecam

ks. Tadeusz Nagel COr

"Jam jest Zmartwychwstanie i życie, kto wierzy we mnie choćby umarł, żyć będzie na wieki."

To są Twe słowa o Jezu Chryste
one nas wiodą do bram wieczności
Tyś Drogą prawdą miłości tchnieniem
Z Twojej dobroci rodzi się człowiek
idzie przez życie drogą wskazaną
dobiega kresu pobytu na ziemi
i wchodzi w nieba wiecznego podwoje.

Taką pielgrzymkę dokończył Ksiądz Edward
przed wielu laty Ty go powołałeś
by wszedna drogę kapłaństwa świętego
przyjął wezwanie – na posterunku
wytrwał do końca w służbie wybranych.

Raz się rodzimy i raz umieramy
stanąć musimy przed Twym majestatem
by zdać rachunek z pobytu na ziemi
i wejść w wiekuistą światłość.
Przez długie lata służyłeś wytrwale
Drogi Przyjacielu Edwardzie Kochany
spalony pracą ofiarną serdeczną
zostałeś już w wieczność włączony.

Twoi rodzice swą wiarą gorącą
wskazali dzieciom drogę do Pana
w tym dwóch kapłanów Bogu oddali
chwała im za nich będzie chwała.

U stóp Maryi na Świętej Górze
wiarą bogaci siły stąd brali
z Bogiem dla Boga chowali dzieci
za wstawiennictwem Najświętszej Panny.

I Ty Edwardzie wszedłeś w ich ślady
Bogu na służbę się poświęciłeś
w pracy dla Pana zbawiania wiernych
swe życie całe spaliłeś.
Ostatnie chwile bólem znaczone
w cierpieniu dusza Twa dojrzewała
odchodzisz z ziemi po trudach znoju
aby wieczystą cieszyć się chwałą.

Na pożegnalnej ostatniej drodze
tłum wiernych ludzi Cię odprowadza
Biskupi razem z braćmi w kapłaństwie
hołdy Ci sercem składają.

Modlitwy śpiewy kwiaty wspaniałe
trumnę Twą z żalem otaczały
i łzy płynęły po Tobie Bracie
łzy Twej Rodziny tak ukochanej.

Orszak pogrzebu wielki wspaniały
do cieni grobu Cię odprowadza
słowa podzięki wdzięczności płyną
za Twą ofiarną w Bytowie pracę.

Niech Aniołowie zawiodą Cię do raju
śpiew ten potężny przebijał niebiosa
na fali pięknych cudownych tonów
dusza Twa w niebo wstąpiła.

Spoczywaj w Bogu Bracie Kochany
Drogi przyjacielu – od lat wielu
Tobie te proste słowa poświęcam
prosząc byś w niebie u stóp Maryi
wybłagał świętość świeckim kapłanom
na dalsze nasze trwanie.

Drogiemu Kochanemu Przyjacielowi
Ks. Edwardowi Zielińskiemu

ks. Tadeusz Nagel COr
Błażejewo – Gostyń, 23.02.1994 r.

Jubileusz 25 – lecia Parafii pw. NMP – Matki Kościoła w Poznaniu – Świerczewie

Z inicjatywy ks. Arcybiskupa Antoniego Baraniaka Metropolity Poznańskiego i w nawiązaniu do historycznej obecności Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri na Śródce w Poznaniu – dekretem z dnia 21 września 1969 – Ldz 8023, został erygowany Ośrodek Duszpasterski pod wezwaniem NMP – Matki Kościoła przy kaplicy na cmentarzu (przy ul. Smolnej 3) w Poznaniu, i powierzony kapłanom Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri z Gostynia. Ośrodek powstał z części parafii św. Trójcy (Poznań – Dębiec) i skupiał początkowo ok. 3000 wiernych.

Wiele wysiłku w tworzenie nowego Ośrodka Duszpasterskiego wniósł ówczesny superior Kongregacji Świętogórskiej ks. Józef Jura.

Mieszkańcy tego rozbudowującego się, peryferyjnego osiedla w Poznaniu przyjęli decyzję ks. Arcybiskupa z wdzięcznością i zadowoleniem. Kaplica została rozbudowana i podpiwniczona. Początek działalności duszpasterskiej był bardzo trudny. Nabożeństwa i katecheza dzieci i młodzieży odbywały się w kaplicy i w salkach piwnicznych.

Pierwszymi księżmi filipinami w nowej placówce byli ks. rektor Wacław Szymczak i ks. wikariusz Marian Kara. Księża mieszkali w sublokatorskich pokojach, w domach życzliwych parafian. Po śmierci ks. Wacława Szymczaka posługę duszpasterską w Ośrodku pełnił ks. rektor Bernard Mariański.

W dniu 20 sierpnia 1971 r. rektorem kaplicy zostaje ks. Kazimierz Wasela, który jest dobrym organizatorem i ma wyjątkowy dar jednania ludzi. On to czyni starania o pozyskanie terenu pod budowę nowego kościoła. W dniu 15 października 1977 r. ks. Wasela uzyskał zezwolenie na budowę nowego kościoła wg projektu architekta dra Z. Stępniowskiego oraz otrzymał przydział działki budowlanej, położonej w centrum osiedla. Poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowej świątyni dokonał ks. Arcybiskup Jerzy Sroba w dniu 8 czerwca 1980 r. Dekretem Kurii Metropolitalnej w Poznaniu z dnia 1 kwietnia 1984 r. powołana została nowa parafia pod wezwaniem NMP – Matki Kościoła. Konsekracji kościoła dokonał ks. Arcybiskup Jerzy Stroba 21 września 1986 r.

Po przedwczesnej śmierci, w dniu 28 czerwca 1989 r., budowniczego kościoła ks. Kazimierza Waseli, proboszczem zostaje ks. Tadeusz Badura COr, który kończy dzieło wykończenia zewnętrznego świątyni i wyposażenia jej wnętrza dostosowanego do architektury kościoła. Akualnie w parafii pracują: ks. proboszcz Tadeusz Badura COr, wikariusze: ks. Marian Kara COr i ks. Sławomir Ratajczak COr oraz wspomagający pracę w parafii ks. Lucjan Pańkowski COr kapelan Rodziny Katyńskiej w Poznaniu.

Tak szybka budowa pięknej świątyni i dynamiczny rozwój parafii były możliwe dzięki łaskom Pani Świętogórskiej.

W niedzielę 11 września 1994 r. w kościele NMP – Matki Kościoła odprawiona została w koncelebrze – z udziałem kapłanów i licznej rzeszy wiernych – uroczysta Msza św. dziękczynna z okazji Jubileuszu 25 lecia powstania najpierw Ośrodka Duszpasterskiego, a następnie parafii. W wygłoszonej homilii ks. superior Zbigniew Starczewski przedstawił historię powstania parafii na Świerczewie i budowy świątyni, na którą złożyły się ofiary wiernych oraz wspólna, mozolna praca, dająca fundament tej Chrystusowej owczarni. Dlatego możemy patrzeć w przyszłość ze spokojem i wiarą, że następne jubileusze przyniosą dalszy rozwój parafii.

Na zakończenie uroczystej Mszy św. przedstawiciele parafian złożyli wszystkim księżom z Kongregacji Oratorium św. Filipa serdeczne podziękowanie i wdzięczność za ofiarną pracę duszpasterką, która pozwala wszystkim wypełniać Chrystusowe posłannictwo i żyć zgodnie z zasadami Ewangelii.

Anna Kosmowska – Kowalska
(Poznań – Świerczewo)

Ważniejsze wydarzenia z budowy kościoła NMP – Matki Kościoła w Poznaniu na Świerczewie

18.04.1977	—	Początek: budowa magazynu na wapno i cement, doprowadzenie elektryczności na plac budowy.
12.1977	—	Postawienie Krzyża Misyjnego na placu kościelnym. Uroczystość Nawiedzenia Obrazu (kopii) MB Częstochowskiej
29.07.1978	—	Sobota godz. 18.00. Rozpoczęcie wykopu pod kościół przy pomocy spycharko-ładowarki.
01.10.1978	—	Początek prac betoniarsko – murarskich przy fundamentach kościoła.
25.12.1979	—	Pierwsza Pasterka w piwnicach (dolnej części) kościoła.
08.06.1980	—	Pierwsza wizytacja kanoniczna, uroczyste poświęcenie i wmurowanie kamienia węgielnego i dokumentu erekcyjnego przez Metropolitę Poznańskiego ks. Arcybiskupa Jerzege Strobę.
rok 1980	—	Parafianie stawiają mury kościoła.
09.09.1981	—	Instalacja stalowej konstrukcji dachu kościoła przez ekipę MOSTOSTALU z Poznania.
24.10.1981	—	Betonowanie płyty dachowej kościoła.
24.04.1982	—	Wizytacja delegacji Episkopatu Francji pod przewodnictwem bpa Jean Orchampt.
28.05.1982	—	Ukończenie budowy wieży kościoła i wciągnięcie dzwonu. (Poświęcenie 10.06.1982)

12.02.1985 — Malowanie i zakładanie kasetonów w kościele. Zakładanie posadzki w górnym kościele.

02.06.1985 — Przeniesienie nabożeństw z podziemi do górnego kościoła. Po raz pierwszy I Komunia św. dzieci w górnym kościele.

06.07.1986 — Nowe tabernakulum oraz uroczystość 25 – lecia kapłaństwa ks. Lucjana Pańkowskiego.

21.09.1986 — Poświęcenie kościoła przez Metropolitę Poznańskiego Ks. Arcybiskupa Jerzego Strobę.

28.06.1989 — Śmierć ks. Kazimierza Waseli – proboszcza i budowniczego kościoła.

28.01.1990 — Poświęcenie nowych organów w kościele.

rok 1994 — Instalacja nowych lamp w górnym kościele.

Adaptacja podziemi dolnego kościoła.
Fundacja nowej Drogi Krzyżowej w kościele.

opr. Nikodem Kowalski (Poznań – Świerczewo)

Kapłani – filipini pracujący na Świerczewie w minionym 25 – leciu

śp. ks. Wacław Szymczak 1969 – 1970
ks. Marian Kara 1969
ks. Bernard Mariański 1970 – 1971
śp. ks. Kazimierz Wasela 1971 – 1989
ks. Lucjan Pańkowski 1974
ks. Stanisław Roszak 1977 – 1979
ks. Stanisław Jura 1978 – 1986
ks. Tadeusz Badura 1984
ks. Kazimierz Pajor 1985 – 1987
ks. Adam Adamski 1989 – 1990
ks. Sławomir Ratajczak 1992

Diakoni – filipini odbywający roczną praktykę duszpasterską na Świerczewie

dk. Andrzej Tenerowicz 1990 – 1991
dk. Jarosław Pięta 1991 – 1992
dk. Tomasz Błaszczyk 1993 – 1994
dk. Waldemar Partyka 1994 – 1995

WAKACYJNE SPOTKANIE KLERYKÓW FEDERACJI POLSKIEJ - STUDZIANNA '94 -

Zjazd ten bez wątpienia stanowił wydarzenie historyczne, gdyż był pierwszym wspólnym spotkaniem trzech polskich klerykatów: poznańskiego, tarnowskiego i radomskiego. Nasze spotkanie miało charakter wakacyjny, a obecność członków trzech klerykatów sprzyjała wymianie doświadczeń. Głównym celem zjazdu było lepsze poznanie się tych wspólnot kleryckich.

Na miejsce spotkania obrano Kongregację Studziańską. Podczas pięciodniowego pobytu w Studziannie odwiedziliśmy bratnie Kongregacje w Radomiu i Tomaszowie Maz. W Radomiu obejrzeliśmy budujący się kościół i nowo powstałe Liceum Katolickie im. św. Filipa Neri; uczestniczyliśmy również w Najświętszej Ofierze sprawowanej przez przełożonych Federacji Polskiej pod przewodnictwem ks. prokuratora Zbigniewa Starczewskiego, co było dla nas niemałym przeżyciem. Mieliśmy także okazję zobaczyć Radomskie Seminarium Duchowne, gdzie studiują klerycy tamtejszej Kongregacji, a także Diecezjalne Radio "AVE", działające przy seminarium.

Kolejnego dnia gościliśmy w drugiej sąsiadującej ze Studzianną Kongregacji w Tomaszowie Mazowieckim. Tam uczestniczyliśmy w środowej Nowennie wraz z całą Parafią, a po Mszy św. spotkaliśmy się przy wspólnym stole. Właśnie w tym dniu, postawiony na początku cel, aby wspólnoty zapoznały się, został w pełni zrealizowany. Atmosfera radosnych rozmów pomogła stworzyć więzy między nami.

Na szczególną pochwałę zasługuje Jacek Cedrowski, który jako kleryk studziański starał się nam umilić czas pobytu w pozostałe dni. Mieliśmy okazję obejrzeć miejsce życia i działalności O. Honorata Koźmińskiego w Nowym Mieście nad Pilicą, skąd Święty kierował powstawaniem szeregu zgromadzeń żeńskich działających w ukryciu. Odwiedziliśmy też Spałę, gdzie odpoczywał prezydent Ignacy Mościcki oraz Inowłódz, gdzie na wzniesieniu znajduje się romański kościół pod wezwaniem św. Idziego. Jego majestatyczna budowla spogląda na płynącą poniżej Pilicę i niewielkie miasteczko.

W Studziannie braliśmy czynny udział w Eucharystii odpustowej ku czci Narodzenia N.M.P. Mieliśmy także dwukrotnie spotkanie z seniorem ks. Władysławem Naterem, który przedstawił nam historię powstania sanktuarium i Kongregacji w Studziannie. Te spotkania na trwałe wpisały się w naszą pamięć. Ks. Nater szczególnie ujął nas sposobem przekazywania swojej ogromnej wiedzy na ten temat. Spotkania odbywały się we wspaniałej atmosferze i towarzyszyły im częste salwy śmiechu. Uczestniczyliśmy również w spotkaniu z O. Prokuratorem, którego tematem była wspólnota – jej zalety, ale i trudności jakie jej zagrażają.

Podczas naszego pobytu w Studziannie odbył się również konkurs wiedzy o św. Filipie. Konkurs ten wywołał dreszcz emocji i pozwolił nam na refleksję na ile znamy życie Ojca Założyciela. Po zaciętej walce o nagrodę O. Prokuratora, laureatami zostali:

I Paweł Cyz (Tarnów),

II Jarosław Gutowski (Radom),
III Henryk Schwanke (Gostyń).

Nad całością naszego pobytu czuali księża opiekunowie poszczególnych klerykatów: ks. A. Adamski (Poznań), ks. W. Mleczko (Tarnów), ks. M. Prasek (Radom).

W końcowej refleksji wspólnie doszliśmy do wniosku, że to spotkanie poza wzajemnym poznaniem, ogromnie wszyskich ubogaciło i wyraziliśmy nadzieje, że takie spotaknia będą odbywały się corocznie.

Jak mówi przysłowie "co przyjemne, szybko się kończy", tak i nasze spotkanie dobiegło końca i nikt z nas nie zauważył jak te dni szybko minęły i nadszedł czas rozstania. Do zobaczenia za rok.

kl. Henryk Schwanke (Gostyń)

Radosne dni

Nasz Założyciel św. Filip, siewca radości, miłości i miłosierdzia jest dla nas pięknym przykładem i zachętą by iść jego śladem. Nasze zgromadzenie od wielu lat w Polsce taką pracę prowadzi. Na Świętej Górze był konwikt dla niezamożnych chłopców; przebywali tu do matury, mając pełną opiekę duchową i materialną; wielu wyszło z tego konwiktu ludzi wspaniałych w różnych zawodach. W naszym Oratorium Świętogórskim prowadzona jest również akcja kultury religijnej, spotkania dyskusyjne, dni skupienia dla młodzieży i innych grup oraz rekolekcje dla wszystkich stanów przez cały rok. Wśród spotkań rekolekcyjnych jest jedno wspaniałe, pełne radości i szczęścia. To wczasorekolekcje dla niepełnosprawnych i ludzi samotnych. Od 1974 roku takie spotkania mają miejsce a przybywa na nie około sto osób (casaem i więcej). Pracują przy nich panie i panowie, klerycy, siostry zakonne i ksiądz. Są to rekolekcje pełne radości, mimo kalectwa; pełne czynnej miłości, panuje tu zawsze atmosfera Chrystusowa – miłość bratnia i siostrzana. Trudno opisać i wyrazić ile takie dni wnoszą – dla niosących niełatwy krzyż – pokoju, mocy Bożej i ludzkiej serdeczności.

Nasze Zgromadzenie ma swój kościół filialny w Błażejewie, wybudowany w 1675 r. z własnej fundacji pierwszego filipina, ks. Grudowicza. Powstał on z potrzeby praktyk religijnych dla ludzi tu pracujących przy naszym majątku i dla pracujących w lesie, z którego przewożono drzewo na budowę Kościoła i klasztoru na Świętej Górze. Kościół ten, poza kasatą pruską, jest obsługiwany przez naszą Kongregację. Mały, drewniany, otoczony piękną zielenią, polami, lasami jest na tej ziemi perełką gromadzącą wiele dusz na modlitwę. Tutaj tak bardzo blisko jest Bóg, tak sercom jest radośnie.

Od wielu lat przy tym kościele i w domu niedawno wybudowanym gromadzi się wiele różnych grup: emeryci, Kluby Złotej Jesieni, dzieci niepełnosprawne, harcerze, pszczelarze, chorzy z Domów Specjalnych z różnych miast, chóry i zespoły muzy-

czne. Takie spotkania trwają cały dzień. Zaczynają się Mszą św.; potem koncert poezji, muzyki, śpiewu; następnie posiłek wspólnie przygotowywany oraz ognisko, spacery do pobliskiego lasu. Radości śpiewu nie ma końca. Najpiękniejsze są jednak spotkania z niepełnosprawnymi. Są one na wiosnę, w czasie lata i jesienią. Takie radosne dni niosą wiele pokoju, szczęścia miłości; budzą ufność, wzmacniają siły ducha i ciała, jest w nich niebiańska atmosfera wzajemnej wielkiej miłości do Boga i człowieka. Raz w roku jest też Msza św. za poległych żołnierzy i harcerzy. Na ten dzień przyjeżdża wielka rzesza ludzi. Po Mszy św. przy pomniku obok kościoła – symbolicznym grobie na którym jest ziemia z 26 miejsc męczeństwa i walk za Wiarę i Ojczyznę – odbywa się apel poległych. Młodzi i starzy harcerze złączeni jedną więzią braterstwa, tworzą tutaj atmosferę szczęścia, patriotyzmu. Przy kościele jest też symboliczny grób dzieci nienarodzonych – zabijanych.

Zapraszamy wszystkich, aby to miejsce odwiedzić. Piszący te słowa jest przekonany, że kto za życia nie był w Błażejewie, to po śmierci musi tu przybyć. Okolica piękna, barwna, radosna. Na terenie Błażejewa mamy kabaret "Pod kociołkiem", który również wnosi wieleuśmiechu i radości w życie przybywających tu gości. Jeździmy też z koncertami do domów specjalnych, sanatoriów i innych. Zapraszam całym sercem do Błażejewa.

ks. Tadeusz Nagel COr

NOWY DR !

24 lutego o godz. 16.00 na Wydziale Filozoficznym PAT-u w Krakowie miała miejsce publiczna obrona rozprawy doktorskiej ks. lic. Adama Adamskiego, oratorianina z Gostynia, obecnie prefekta klerykatu filipińskiego w Poznaniu. Opuszczonego przez współbraci z macierzystej Kongregacji wspierali go swoją obecnością: s. Rozalia i s. Juwentyna ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek, ks. Józef Kloch – dyrektor programowy radia tarnowskiego "Dobra Nowina", (*tego samego wieczoru była już wiadomość na falach radiowych!)*, kilku studentów i studentek filozofii oraz wierni przyjaciele z czasów wspólnego klerykatu tarnowskiego, obecnie przełożeni klerykatów: tarnowskiego – ks. Włodzimierz Mleczko COr i radomskiego – ks. Mirosław Prasek COr ze swym ojcem.

Obronie przewodniczył Dziekan Wydziału Filozoficznego ks. doc. dr hab. Tadeusz Gadacz SP. Na sali zgromadziła się cała Rada Wydziału. Byli m.in... ks. bp prof. Józef Życiński – jako recenzent, prof. Mieczysław Markowski (PAN) – drugi recenzent, promotor – ks. prof. Michał Heller, prodziekan Wydziału Filozofii ks. dr hab. Marian Pamuła, ks. prof. Józef Tischner i inni.

Po kilku słowach wprowadzenia przez Dziekana Wydziału, Promotor przedstawił biografię doktoranta. Następnie ks. Adam wygłosił autoreferat, prezentując tezę swojej rozprawy: "Galileusza filozofia i teologia nauki na podstawie listu do Krystyny z Lotaryngii, Wielkiej Księżnej Toskańskiej". List ten, to traktat na temat hermeneu-

tyki biblijnej i relecji między naukami przyrodniczymi i teologią. Właściwymi adresatami listu byli przedstawiciele Kościoła Katolickiego, którzy planowali potępić kopernikanizm. Galileusz bronił w Liście zasady hermeneutycznej, która stwierdza, iż język Biblii jest językiem potocznym, używanym w czasach gdy powstawała dana księga i z tego powodu nie może on być źródłem naukowych informacji o świecie przyrody, a człowiek "otwierając" obok Biblii Księgę Natury, której autorem jest ten sam Bóg, może – dzięki bożym darom zmysłów i rozumu – odkrywać prawdy należące do porządku naturalnego na drodze rozumowej i doświadczalnej.

Galileusz nie znalazł zrozumienia wśród sądzących go teologów, którzy w klimacie kontrreformacji bardzo wyczuleni byli na "nowinki", zwłaszcza, gdy wypowiadał je laik. Dlatego w trybie administracyjnym potępili oni kopernikanizm, a Galileusza skazali na areszt domowy, milczenie i odmawianie psalmów pokutnych.

Zakończył stwierdzeniem kosmologa naszych czasów Stephena Hawkinga, który określił postawę Galileusza: "Pozostał wiernym katolikiem, lecz jego wiara w niezależność nauki nie została złamana".

Następnie głos zabrali recenzenci. Pan prof. Markowski zauważył pewne niedociągnięcia formalne, które zniknęły po przedstawieniu dorobku naukowego, który wniósł ks. Adamski do polskiej myśli filozoficznej poprzez przybliżenie przekładu Listu Galileusza (pierwszy przekład na język polski!) oraz jego naukowe opracowanie. Ks. bp Życiński w sposób zaczepny (jak sam stwierdził "dla ożywienia dyskusji"), nie powtarzając już zalet, które uwypuklił przedmówca, wyłożył swoje uwagi: (1) Galileusza nie można nazwać prekursorem współczesnej egzegezy; (2) Należało odnieść się do problemu kapłaństwa Mikołaja Kopernika; (3) Bardzo dyskusyjny jest fakt nieprzeciętnej znajomości tomizmu przez Galileusza.

Doktorant w sposób błyskotliwy i humorystyczny odniósł się do stawianych zarzutów, po czym poparł swoje stanowisko rzeczowymi argumentami: (ad 1) "Nazwałem Galileusza "prekursorem nowoczesnej hermeneutyki biblijnej", gdyż czerpiąc inspiracje z myśli patrystycznej (sam nie był profesjonalnym egzegetą, więc szukał uzasadnienia dla swych intuicji w autorytecie Ojców Kościoła), pragnął włączyć do egzegezy wyniki obserwacji świata stworzonego przez tego samego Boga, który jest autorem Pisma Świętego. Jego nowatorskie podejście polegało na odwróceniu kolejności źródeł, z których ma czerpać wiedzę teolog: najpierw dzięki świadectwu zmysłów – które też są darem Boga, a więc powinniśmy ich używać – powinien zbadać w jakim świecie żyjemy, dopiero później, w świetle tej wiedzy, może interpretować przesłanie zawarte na kartach Pisma Świętego. Nowoczesna egzegeza nie może lekceważyć osiągnięć nauk przyrodniczych, których współtwórcą jest Galileusz". (ad 2) "W mojej pracy skoncentrowałem się na tych wątkach "Listu", które dotyczą stosunku Galileusza do Pisma Świętego i relacji jakie zachodzą między naukami przyrodniczymi a teologią. Celowo pominąłem milczeniem kontrowersyjne zdania Galileusza na temat np. kapłaństwa Mikołaja Kopernika. Stanowią one nieistotne dla treści "Listu" stwierdzenia (dlatego nie nazywałbym ich tezami), które nie wniosłyby niczego zasadniczego do toku moich wywodów. Możliwość rozszerzenia pracy o inne wątki pozostaje oczywiście sprawą otwartą". (ad 3) Dwukrotnie w mojej pracy odwołałem się do opinii Wallace'a na temat znajomości tomizmu przez Galileusza. Oba te fragmenty mówią jedynie o wiedzy Galileusza na temat szkoły tomistycznej co nie musi oznaczać "przejawów przyjęcia przez niego zasad tomistycznej filozofii przyrody".

Ten fakt miał na celu ukazać "śladowość" treści teologicznych w spuściźnie literackiej Galileusza i dlatego bezzasadnym wydawało mi się ustosunkowanie się w tym kontekście do polemiki Wallace – Mc Mulin, na temat charakteru tych pism.

Po wspomnieniu tych nielicznych świadectw teologicznych zainteresowań Galileusza, uznałem za uzasadnione stwierdzenie, że "najważniejszym dziełem Galileusza, w którym prezentuje obszernie swoje poglądy na temat zasad hermeneutyki biblijnej (...) pozostanie "List do Księżnej Krystyny".

Ciekawskie apetyty naukowców z sali ks. Adam zaspokoił szeroką wiedzą z dziedziny filozofii przyrody. Po tym wszystkim musieliśmy opuścić salę, aby odbyło się głosowanie Rady Wydziału nad zatwierdzeniem pracy i tytułu. Krótkie rozmowy na korytarzu i oczekiwanie.

Wreszcie padło zaproszenie, aby wejść do sali, gdzie ks. Dziekan Tadeusz Gadacz ogłosił, iż ks. Adamowi Adamskiemu przyznano tytuł doktora ze specjalnością filozofii przyrody.

Brawa! Toast! Ciastka. Kawa. Koniec.

Podczas mini bankietu rozmowy i pytania: co dalej doktorze? Ks. prof. Heller zakończył anegdotą o dwóch szewcach (mając na uwadze poznańskie poletko filozofii przyrody). Otóż, udali się oni do Afryki, aby zbadać rynek i stwierdzić, czy jest możliwe otwarcie tam fabryki obuwia. Jeden stwierdził, iż jest to absolutnie niemożliwe, bo nikt tam nie nosi obuwia. Drugi natomiast wykrzyknął, iż to dopiero będzie biznes, gdyż tutaj nikt jeszcze nie ma butów!

Przed ks. dr Adamem Adamskim jeszcze uroczystość promocji i wręczenie dyplomu (8 maja) w Kościele Św. Anny w Krakowie. Gratulujemy i życzymy nowemu "DR" dalszych sukcesów naukowych!

Ps. Przebywający właśnie w Radomiu na rekolekcjach ks. Stanisław Gawlicki wyjaśnia, że w tej decydującej chwili Adam nie był opuszczony przez przyjaciół ze Świętej Góry, gdyż dwaj z nich (ks. Stanisław był pomocnikiem tego drugiego) od godz. 15.00, wożąc ziemię, żarliwie odmawiali pacierze i dlatego tak dobrze mu poszło.

ks. Mirosław Prasek COr (Radom)

ks. Henryk Jaromin COr

Za innego mnie mają...[1]

Ludzie uważają mnie za mądrego, uczciwego człowieka, mającego złote serce. Ale mnie nikt nie zna...
Jestem bibliotekarzem cesarza, ale nie jestem mądry. Moja uczciwość nie jest bez skazy. Bo czy może mówić o miłości bliźniego ktoś, kto zabijał... i to setki ludzi? Czy można uważać za uczciwego tego, który kradł i oszukiwał.
W tej książce wyznałem wszystko jak na spowiedzi. Gdy przeczyta się tę książkę okaże się, że mnie ludzie nie znali.
Tylko zwierzęta się znają. Ludzie nic o sobie nie wiedzą. Nawet Dzidzija mnie nie zna, choć jest moją żoną; choć mam przed nią serce otwarte, a także szuflady.
Można tylko poznać ludzką twarz, a twarz to nie to samo co człowiek. Człowiek jest ukryty za swoją twarzą. Jest niewidzialny. Jego wnętrze zna tylko Bóg i częściowo on sam."
(Byłem niewolnikiem Hunów, Gere Gardohyi, s.5.)

1. XI. 1967

Wczoraj minęło 15 lat mojego pobytu w Kongregacji. Dziękowałem Bogu za wszystko, ale także przepraszałem. Wiele czasu zmarnowałem. Nie umiałem sięgać w głąb, powierzchowność, zbyt szerokie zainteresowania. Brak wiary we własne siły. A może niezdrowa ambicja, która boi się ludzkich opinii, woli się nie narażać na porażki.

Ufam Bożemu miłosierdziu. *Parce Domine, parce famulo Tuo.* Jak to dobrze, że skończyło się kupczenie odpustami. Już nie ma tego *"toties quoties"*, za sześć pacierzy.

Duch Boży podsuwa mi propozycje...

---

[1] Pierwszy, nigdzie nie publikowany, fragment dziennika duchowego śp. O. Henryka Jaromina COr. Całość obejmuje 159 str. rękopisu, formatu B%, i zawiera zapiski z okresu między 1.XI.1967 a 7.VII.1969 r. Wniniejszym opracowaniu starałem się zachować orginalną pisownię, słownictwo, styl. Nieliczne miejsca, gdzie dokonałem korekty lub nie rozszyfrowałem rękopisu, zaznaczyłem w tekście znakiem: [...]. Sądzę, że uzyskujące tą drogą światło dzienne materiały, mogą być, zwłaszcza dla młodszego pokolenia filipinów w Polsce, niezwykle cennym źródłem poznania duchowości zmarłego przed dziesięciu laty (14.05.1985). O. H. Jaromina

25. XII. 1968

Dzisiaj napadła mnie ochota do pisania. Celebrowałem trzy Msze, lecz wszystkie poza naszym kościołem. Kolejność przeznaczyła mnie do pasterki na Słowackiego. Jeszcze rok temu było wielu kandydatów, aby nie brać udziału w koncelebrze, dzisiaj wszyscy wolą koncelebrę – robi wrażenie. Ludzi było jak nigdy, nie było wolnego miejsca, nawet na schodach chórowych.

Zawsze przed kazaniem przeżywam tremę, i tak było dzisiaj. Wpadłem w patos, jeśli mnie stać na patos, mocno lansowałem hasło: *"Po to Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem" (św.Augustyn)*. Byłem pod wrażeniem, bo krople potu wystąpiły mi na czoło; także koszule były mokre, co mi się przy celebrze rzadko zdarza.

Rano o szóstej celebrowałem Mszę św. u Zytek na ulicy Grottgera, na korytarzu. 34 Komunie. Intencja – w int. ks. bpa K. Pękali, ale moją zasadniczą było, aby mieszkanki tego domu miały jedno serce, jedną miłość, bo im jej zawsze brak, a Jezus więcej od nich wymaga, i właśnie dziś pyta się: *Czy miłujecie mnie więcej niż inni? Czy od roku wzrosła u was wiara i miłość?*

Jakże tej miłości brak; na każdym kroku wychodzą własne intencje, własnym sosem opatrzone spojrzenie na rzeczywistość. Postanowiłem wszystkich wysłuchać, i z jednego obozu i z drugiego, ale zdecydowanie odcinam się od bezpośredniej interwencji i od wydawania sądów. Nie czynię tego z tchórzostwa, ale boję się aby nie zafascynować się którąkolwiek opinią i nie wydać fałszywego sądu. Jestem w tym wypadku trochę wygodny, ale gdyby spełnić życzenia wszystkich, trzeba by było co chwilę zmieniać zdanie.

Zaniosłem Jezusa do p. Gawłowej – chciałem tej kobiecie zanieść cierpliwość i pogodę; nie wiem czy to się udało, bo najmniej to ode mnie zależy, tylko od Boga i od niej.

O dziewiątej trzecia Msza św. u Sióstr. Cóż im powiem? Poszedłem z tremą, bez planu i tematu, ale temat narzuciły mi śpiewy części zmiennych. *Maleńki nam się narodził*: – Ten maleńki jest Bogiem, i cóż nam przyniósł – wielkość człowieczeństwa i obowiązek uszlachetniania swej osobowości. Chrystus przyniósł nam poczucie braterstwa – stając się naszym bratem. Przyniósł nam pokój i zachęcał do powszechnego przebaczenia, bo każdy zasiadał do stołu, albo myślał, że ma zasiąść, a my mamy ukazywać Chrystusa światu, nie w żłóbku, nie na krzyżu, nie w tabernakulum, ale w naszym życiu i postępowaniu.

Wierzę w jednego Boga..., i począł się z Ducha św., narodziwszy się z Maryi Dziewicy, stawszy się człowiekiem... [...]

Zaciągnęła cisza i w swojej świadomości, ujmując opłatek w ręce, poczułem się niczym, bezsilny, wszyscy czekają na moje słowa: posłuszny Chrystus, moi bracia, a mnie dławi. *Hoc est enim Corpus meum*. Jakże trudno uwierzyć. W takiej chwili i takim dniu ogarniają sercem uczucia i przed oczyma staje wiele faktów z życia Jezusa i mojego. Zaczynam się bać. Włożono na mnie brzemię zaufania. Czy zniosę ten ciężar, tę odpowiedzialność przed Chrystusem i przed Chrystusem Mistycznym.

Wracając spotkałem ludzi, którzy brali udział w pasterce. Gdzie ksiądz był? Nie widzieliśmy księdza w kościele. Wspaniale było, ludzie sięgali pod sam ołtarz, zajmowali schody na chór i stali na chodniku aż do jezdni. Podbudowała się nasza wiara. Msza wszystkich kapłanów naszych pięknie wygląda.

Z ciekawością otwierałem głośnik radiowy, aby wysłuchać wiadomości o kosmonautach krążących koło księżyca. O ósmej nic nie wiedziano, czy wracają na ziemię, ale wszystko idzie wspaniale. Oby te sukcesy zbliżyły do Boga i utwierdziły braterstwo oraz pokój na ziemi.

26. XII. 68

"Wy będziecie mi Świadkami po całej ziemi, aż po krańce świata". Szczepan był pierwszym, za nim poszli inni; a czy mnie stać na takie świadectwo? Mówimy to naszym słuchaczom, a czy nas stać na dawanie świadectwa.

Nasza moc z Ducha św. jest, lecz czy zawsze gotowi jesteśmy przyjąć Jego działanie w nas. Przyjdź Duchu św., napełnij nas mądrością i roztropnością, daj nam swoją moc, aby nasze słowo było skuteczne i płynęło z przekonania.

Nie lękajcie się. Mnie prześladowali i was prześladować będą. Nie ten, który Mi mówi: Panie, Panie, wejdzie..., ale który czyni wolę Ojca mego... Nie przyszedłem, aby Mi służono, ale aby służyć; i ty masz się ode Mnie uczyć, jak postępować – czyli miłość w czyn zamienić... wobec braci moich.

Supplices Te rogamus... omni benedictione et gratia celesti repleamur.

Zaniosłem między innymi Jezusa kobiecie od czterech lat chorej na chroniczne w całym ciele zapalenie stawów. Bohaterka, ale zrezygnowana, na jej ustach nie widać uśmiechu. I będzie cierpieć, aż jej zabraknie czerwonych ciałek krwi. Nastrój tragiczny, kobieta bez rodziny, zdana na ludzką dobroć, ale największym cierpieniem jest zawsze mieć świadomość, że komuś jest się ciężarem.

Tajemnica cierpienia. Dlaczego niektórych obarczasz ponad miarę, ponad siły, i tak długo, i tak zdawałoby się beznadziejnie? Cóż tym ludziom powiedzieć? Jak ich przekonać, że Chrystus w nich cierpi? Jakże często przyjmują te słowa pociechy, czy nawet twardej rzeczywistości, jako zwyczaj, ale nie biorą sobie do serca.

27. XII. 68

Przyszła mi myśl, czytając Ewangelię, że św. Jan musiał prostować plotki jakie powstały na temat jego osoby, że nie naucza. A w ogóle to często przypominają się mi dwa epizody z jego życia; jeśli nawet one są legendą nie przeszkadza, aby z nich skorzystać. W każdym razie odpowiadają mentalności Janowej i dobrze siedzą w szkole duchowej św. Filipa. To są: – wypadek zabawy św. Jana z sokołem i stwierdzenie Janowe wypowiedziane do zgorszonych uczniów: *"Czyż będzie sprawny łuk myśliwego, jeśli ciągle będzie wygięty; straci na sprężystości i na sile"*. Oraz drugie: – podobno uczniowie często prosili Jana staruszka, aby im podawał jakieś wskazówki duchowe, a Jan wciąż powtarzał: *"Synaczkowie najmilsi, miłujcie się*

wzajemnie". Denerwowało to słuchaczy, zgłaszali pretensje, dlaczego nie powie czegoś nowego, a Jan odpowiadał: *"Synaczkowie, zachowajcie tylko to jedno polecenie, a będziecie doskonali"*. [...]

Dziś wieczorem chyba nie sam dziękowałem Stwórcy za pomyślny lot astronautów wokół księżyca. [...] Tak mały lot tyle wzbudza zachwytu, a cóż powiedzieć o tych wielkich gwiazdach. Kto nimi kieruje? Tylko Bóg, oby tylko ludzie nie byli ślepi. Cały świat zachwyca się tym sukcesem, oby cały świat bardziej poczuł się jedną rodziną Bożą.

28. XII. 68

Czyż Bóg jest słaby? Może bezradny? Dlaczego dopuszcza takie zło? Bóg jest wszystkowiedzący. Jest wszechmocny, a jednak tyle zła, cierpienia na ziemi. Iluż jest takich, że mają pretensje do Boga, że nie ustrzegł ich przed nieszczęściem...

Choćby dzisiejsza uroczystość; kazał własnemu Synowi uciekać, dopuścił, żeby złośliwy Herod pozabierał dzieci matkom od piersi, i zabrał na zawsze, że wycisnął łzy i jęk. Dlaczego? Mógł i miał wiele sposobów, aby temu przeciwdziałać. Jednak zgodził się, aby Herod szalał. Czy krzyżował jego plany. Czy pokrzyżował? Nie usiłujmy tego tłumaczyć. Zawsze będzie to tajemnicą, bo możemy znaleźć wiele sposobów takiego wytłumaczenia, ale które będzie sprawiedliwe, słuszne, poprawne? Może żadne. Nie przenikniemy Boga, mamy ptasi umysł, aby pojąć Jego plany. To będzie tajemnica i trzeba wszystko przyjąć w postawie wiary, zaufania, dziecięcego oddania, bo inaczej nasza wiara byłaby tego pokroju, coby Boga uważała za ciągłego poprawiacza ludzkich błędów, pomyłek, złośliwości, kaprysów. Chcemy Boga mieć na własne usługi i na każde zawołanie, aby naprawiał co zepsujemy, nasze zdrowie, naszą sławę, ludzką złośliwość, a modlitwa – jako złożenie zamówienia, i musi być wykonana. Jakiż to etap przeobrażenia religijnego musi przejść ten powszechny, typowy katolik polski, aby naprawdę zawierzyć Bogu, Jego tajemnicom, Jego Opatrzności i swoje modlitwy streścić w słowach: *"Bądź wola Twoja. Bóg dał, Bóg wziął. Niech będzie Bóg uwielbiony"*.

29. XII. 68

"Co ze mną będzie? Zostałam sama. Nie wiem do jakiego szaleństwa posunę się. Wierzyłam w miłość – piękną, chciałam mieć kogoś, a tymczasem posądzona zostałam o kokieterię. Nigdy sobie tego nie uświadamiałam".

Co było już się nie wróci, ale jeszcze raz przekonałaś się, że nie można opierać przyjaźni na człowieku, bo może się oscylować na granicy grzechu, albo być zawiedzionym. Czy to doświadczenie nie jest łaską, że tylko Bogu się oddałaś i nie wolno Ci było dzielić serca i część oddawać komuś, kto nigdy nie był zdolny mimo dobrych chęci darzyć Cię prawdziwą miłością.

Przyjmij ten cios, abyś do Boga wróciła, abyś Jemu wszystko oddała, i wciąż oddawała każdego dnia. Przecież przez ślub czystości nie miałaś prawa do ludzkiej

miłości, nawet tej idealnej; a czy jest miłość idealna ludzka. Dziękuj Stwórcy za uderzenie łaski, ogarnij dusze żalem i patrz w przyszłość.

Kolędujemy, wpatrujemy się w żłóbek i w kończącym się roku widzimy koniec naszego życia, jak siostra nasza Śmierć zabierze nas i ewentualnie nasze zasługi, a tu pozostaną na zniszczenie, na zmarnowanie nasze wysiłki. Trzeba być bogatym u Boga przez realizację wezwania: *"Doskonałymi bądźcie, jak Ojciec wasz doskonały jest"*. Ale jak? Apostołowie pytali już o to Jezusa: *"Panie pokaż nam Ojca"*. *"Filipie, kto widzi mnie ten widzi Ojca"*.

Chrystus jest naszym przewodnikiem, który prowadzi; jest modelem, który mamy jak rzeźbiarze wykuwać w nasze życie. Mamy się stać dziećmi Boga przez poznanie, pokochanie, przez chlubienie się, przez naśladowanie Jezusa Chrystusa i Jego nauki. On jest dla nas przykładem w każdej sytuacji; w szarzyźnie dnia, jako cieśla w Nazarecie; w cierpieniu i doświadczeniu – w Ogrójcu, na drodze Krzyża; w pokusach – *"Idź precz szatanie..."*; i w umieraniu – *"Ojcze, w ręce Twoje oddaję ducha mego"*.

Poznajmy Jezusa bardziej zdecydowanie. Nie bójmy się wysiłku, aby Bóg Sędzia rozpoznał w nas rysy swego Syna umiłowanego i zaprosił na wieczne kolędowanie.

Wciąż istnieje problem obecności Maryi w czasie peregrynacji. Nawet biskup na ambonie 15.XII. powiedział: *Maryja jest obecna wśród nas*, i zdawało się wyczuwać, że w taki sposób jak Jezus w Eucharystii, ale tydzień później w katedrze tegoż biskupa było inne sformułowanie: *Maryja przynosi nam Ducha Świętego*.

Cóż to jest peregrynacja? Duszpasterze mocno uderzają w prostą pobożność i mają sukcesy liczbowe, ale czy trwałe. Spotyka się w tych dniach wiele łask duchowych; dlaczego? Czy może być nadzwyczajna obecność Maryi? Pan Jezus najmniej przebywał w Nazarecie, tam najmniej albo w ogóle nie zdziałał żadnego cudu, bo nie znalazł wiary wśród tych mieszkańców.

Peregrynacja jest to tysiącletnia, godowa uroczystość Matki Boga Królowej Polski. Ta okazja zmusza nas do przygotowania, do intensywnej wiary, do wzbudzenia miłości. Już wtedy dokonuje się cud, że życie Boże w nas tętni, a wtedy jesteśmy usposobieni na działanie łaski. Niektórzy zarzucają, że przez peregrynację niejako podważamy jedyne pośrednictwo Jezusa Chrystusa. W praktyce i w mało świadomej religijności to jest faktem, ale założenie jest inne. Jedynym pośrednikiem jest Jezus Chrystus, ale pośrednikiem między nami a Jezusem jest Jego i nasza Matka Maryja; bowiem kiedy idziemy do Jezusa znajdujemy Go w rękach Maryi, i jeśli chcemy rozmawiać z dzieckiem musimy najpierw przywitać się z matką. Podobnie jest tutaj: idziemy do Jezusa, rozmawiamy z Matką. To takie proste i nic nie umniejsza Jezusa Zbawiciela i Jedynego Pośrednika. Wielu ludzi wyznaje na spowiedzi niby swoją winę, że nie brali udziału w peregrynacji, albo też wyznają swoje skrupuły, że nie rozumieją tej peregrynacji; że teatr, że tania pobożność, że niewłaściwość teologiczna, bo Bóg, Trójca Święta, Chrystus schodzą na drugi plan. Oby pogłębiła się wiara i Maryja nauczyła nas jak wierzyć, jak zawierzyć, jak naśladować Chrystusa.

Tyle otrzymałem dobrych słów, życzeń i obietnic modlitw. Jestem wszystkim za nie wdzięczny, jak również dziękuję Najlepszemu Bogu za życzliwe serca, za dobroć, za uśmiech, za zaufanie, ale równocześnie czuję się przygnieciony ciężarem odpowiedzialności za wszystkich, którym winienem modlitwę, którym obiecałem

wstawiać się przed Bogiem. Modlę się za rodziców i rodzeństwo, za wszystkich krewnych i znajomych. Oczywiście i intencje ogólne: Kościół, misje, papież, biskup, nasz episkopat, pokój, sprawiedliwość na świecie... Modlę się za tych, którzy powierzyli mi swoje dusze, swoje troski, zaufali mi, zwierzyli się z najgłębszych tajemnic, problemów; czuję się bardzo zobowiązany, a jeszcze przeraża mnie pytanie, czy ja umię się modlić? Moja modlitwa ustna pozostawia wiele do życzenia, ale ufam Bożemu miłosierdziu, że to co nie dostaje z mojej ułomności, słabości, opieszałości, lenistwa, uzupełni swoją szczodrobliwością, wspaniałomyślnością, hojnością. Boże, nieużytecznym sługą Twoim jestem, ale chcę być narzędziem posłusznym Ducha Świętego, aby prowadzić do Ciebie każdą duszę i chce je przekonać, aby były ofiarne, aby były ciche, aby pełniły wolę Twoją z miłości, a nie z bojaźni. Daj, aby Twoja chwała kwitła, i tylko Twoja. Nie skąp nam wszystkim samego siebie, bądź nagrodą, pociechą, radością. Działaj w nas i przez nas. Niech wszyscy poznają, że jesteś Ojcem, dobrym Ojcem i pragniesz szczęście swoje rozlać w duszach naszych.

30. XII. 68

Otrzymałem propozycję, że ktoś ofiaruje swoje życie, aby mnie Bóg zachował. Podziękowałem. Stwierdziłem: niech będzie wola Boża. Co Bóg uzna za stosowne, to niech się stanie. W rękach Bożych jesteśmy i Jemu całkowicie zaufać winniśmy.

Nie wiem, czy taka propozycja podoba się Bogu?

Wstąpiła we mnie nadzieja, może zostanie uratowane bardzo ofiarne powołanie [...], o którego wielu ludzi się pyta i żałuje. Napisał list, że ma nadzieję powrócić w nasze grono. Dlaczego poprosił o urlop? Dlaczego poczuł się zmęczony psychicznie? Przecież zdolności Bóg nie poskąpił mu. Miał wyjątkowo wiele swobody w realizacji własnych gustów i linii działania. Czy ta metoda wiele go kosztowała? Czy krępowała? Może zabrakło mu roztropności, może zna życie zbyt mało, a wszelkie niepowodzenie uważa za przekreślenie siebie.

Mówił do kolegów, do niektórych kapłanów: *"Nadaję się tylko na brata..."* Czy to nie jest zakopywanie talentów? Czy to nie jest ucieczka przed wysiłkiem, trudem, odpowiedzialnością? Któż jest zdolny rozwiązać jego charakter, kiedy on sam nie wie kim jest i co chce od życia. Dziwne są plany Boże, jednemu da zdolności – nie da chęci, innemu da chęci, ale brak zdolności.

Pisząc kazanie dla referatu duszpasterskiego na pierwszy dzień Świąt pt. *"Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek stał się Bogiem"*, od nowa je przeżyłem. Ta idea wciąż chodzi za mną i w okresie Bożego Narodzenia wciąż wzrasta jakby obsesja tego hasła, wspaniałego, które podobno Ks. Prymas Wyszyński wyraził słowami, że Bóg uklęknął przed człowiekiem, a dlaczego? – nie potrzeba odpowiadać. *"Bóg jest Miłością"*. Wiemy o tym, wiemy i wierzymy, że nasza miłość wynika z miłości Bożej i ma za przedmiot miłości Boga i wszystko, co Bóg kocha. Lecz więcej w nas teorii, niż dowodów, więcej w nas *erosu* – miłości pożądania Boga, aby nam było z Nim dobrze, a jak mało *agape* – miłości, która się daje, oddaje, która przynosi dowody w postaci ofiary. Stworzeni jesteśmy z sercem, a więc do miłości, ale czy naprawdę

kochamy, czy nie żyjemy w iluzji, w samozakłamaniu, w oszukiwaniu siebie? Powiedzieć, że kocham, nie jest trudno, ale czy naprawdę kocham? To ciągły problem, bez odpowiedzi, jeśli wciąż trzeba nam błagać o miłosierdzie, czyli obciążamy sumienie czynami, które pochodzą z *erosu*, a nie z *agape*, które szukają dla siebie przyjemności, a z siebie dają tak mało, i nie stać nas na bezinteresowność.

Panie zmiłuj się nad nami i ulecz nasze słabości.

31. XII. 68

Ostatni dzień, gdzie się człowiek obróci wszyscy podają ręce i *"wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, a szczególnie zdrowia, świętości i wspaniałych wyników w pracy duszpasterskiej"*.

Zdrowie jest mi potrzebne, bo go nie mam, ale jakie mam, za takie dziękuję Panu Bogu, że mimo tych wszystkich dolegliwości, daje mi siły do pracy i chęć do życia i wiele radości. Może nieraz mam przygnębiający wygląd, smutny, czy delikatnie mówiąc wygląd poważny, ale z tego nie zdaję sobie sprawy, lecz jest to źle przyjmowane.

Świętość jest mi potrzebna, bo mam wrażenie, że w ostatnim roku stałem się leniwy w pracy, w modlitwie, bardziej niecierpliwy, bardziej wrażliwy na wszelkie nietakty z otoczenia... Bożemu miłosierdziu bez reszty się oddaję, ufając, że zapomni mi wszystkie duchowe łotrostwa i da siłę, aby się zmienić, aby być szczerym i nie siać zakłamania, udając świętoszka, a w gruncie rzeczy będąc człowiekiem pełnym wad i wszystkiego co poniża moją godność. Nie miejsce, aby się spowiadać ze swoich grzechów, ale fakt obciążenia moralnego nie ulega wątpliwości.

Sukcesów duszpasterskich – to mi jest potrzebne, nie mnie, ale Kościołowi, którego sługą jestem, ale czy pożytecznym sługą? Czy nie zbyt pobłażliwym, czy nie stać mnie na więcej, czy nie zasłaniam się chorobą za wiele? Kierownictwo duchowe – czy zawsze właściwie wskazuję wolę Bożą? Czasem mi się udaje, bo wiele słyszę wdzięczności, słów podzięki za *"podanie gałązki osobie tonącej"*, i uratowała się, za ukazanie ogromu miłosierdzia Bożego, za wskazanie drogi miłości, za wzbudzenie nadziei we własną wartość i nadziei zbawienia, ale czy Bóg ma z mojej pracy pociechę, jeśli tak można powiedzieć. Wyznaję, że kieruję się wiarą, że mam czyste intencje, że cieszę się z każdego postępu duchowego moich penitentów i penitentek, że ideałem jest dla mnie nigdy niedościgły wzór św. Filipa, pogodnego, słodkiego, ale wymagającego spowiednika.

Wiele się spodziewałem po ostatnim roku, i z pokorą przyznać muszę, że nie tylko ja się na sobie zawiodłem; zawiódł się Bóg, i Kongregacja, i klerycy, i Kościół, i profesorzy. Pomijając dziedzinę duchową, w naukowej zrobiłem 1/10 z tego co mogłem zrobić. W dziedzinie wychowawczej trudno stwierdzić, ale niewiele – wciąż eksperymenty, i zdaje się, że zbyt wysoko mierzę, a nisko strzelam, i rzecz prosta pudłuję. Boże załataj moje opieszałości, moje braki... Ty wszystko możesz.

Kończy się dzień, gdzie się człowiek obróci wszędzie muzyka, tańce, zabawa, radio, sale, telewizja; w kościele adoracja dobiega końca, za pół godziny będziemy witać Nowy Rok.

Świat jest rozbawiony, ale to nas nie uspokaja – myślę o tych, którzy płaczą, którzy są głodni, którzy mają piekło w domu przez pijaństwo ojca, męża, syna. Myślę o chorych, o cierpiących. Dziwne prawo kontrastu, ale wdzięczny jestem za nie Bogu, bo tak myśląc, chyba się modlę. Wszystko mi się ciśnie do głowy, a tu czas iść do kościoła; jeszcze kilka chwil spędzić przed Jezusem i z Jezusem; może ktoś chce się wyspowiadać.

Wiele zostało zmarnowane, ale pozostaje ta nadzieja: *"Przezwyciężyć siebie, swoje słabości, przełam, zreformuj siebie, idź i nie grzesz więcej. Zawsze możesz bardziej kochać, głębiej ufać, wierniej się modlić"*.

Jak długo żyje się i jest się chrześcijaninem można żywić nadzieję i stale na nowo szukać, i na nowo próbować, i od początku budować.

Jedna z tych godzin będzie twoją ostatnią.

1. I. 1969

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami pokoju.

Naszym posłannictwem jest trwać w pokoju z Bogiem i pokój Boży rozdawać wszystkim, bo takie jest posłannictwo Kościoła. Założył go Książe Pokoju, ten który często powtarzał: *Pokój mój daję wam, nie jako świat daje, Ja wam daję.*

Pokój serca – bo czyż może być pokój na świecie, pokój między narodami, jeśli brak go jest w sercach ludzkich. Któż to jest pokój? To Jezus Chrystus zamieszkujący serce człowieka. Suma tych spokojnych, Bogu oddanych serc daje pokój między państwami i narodami.*Pokój mój daję wam* – czyli daję wam siebie, abyście ten Pokój, czyli Mnie, dawali innym. *Pokój ludziom dobrej woli.* Cóż, nikomu nie można narzucić. Można narzucić znośne stosunki, ale pokój trzeba dać, który druga strona chce przyjąć i zachować.

Czegóż pragnę? Tylko tego, żebym nikogo nie uważał za wroga i nikt we mnie nie widział człowieka zawistnego, nieprzyjaciela. I jeszcze czego pragnę? Aby do tego pokoju wszystkich przekonać, aby każdy, kto przeze mnie bierze przebaczenie, Słowo, Jezusa, wolę, uśmiech, trwał w pokoju – w przyjaźni z Bogiem, z braćmi. Niech to życzenie płynie jako modlitwa do Pana i niech spłynie obfitym pokojem, błogosławieństwem, wszystkim co dobre i potrzebne do radości i miłowania Boga.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni będą nazwani synami pokoju. Bóg nie przyjmuje i nie wysłuchuje modlitwy tego, który nosi w sobie niezgodę, zawiść, niepokój; żąda od nich, aby zostawili dar modlitewny i pojednali się z braćmi, aby zaprowadzili pokój do swej duszy. I wtedy dopiero możemy składać ofiarę modlitwy.

Piękne, bogate w skutki są słowa św. Filipa – *Błogosławieni młodzi, bowiem macie wiele czasu, aby czynić dobrze.* Chcę czynić dobrze, chcę być dobry dla każdego, dobry jak chleb, który każdy może ułamać i innych obdzielić. Chcę być zaczynem

dobroci, i chcę być wrzucony w ludzkie oczy, w ludzkie serca, aby zakwasić dobrocią wszystkich, każdego kogo spotkam.

Dziś celebrowałem Mszę św. u Zytek, o godz. 6-tej. Z racji chorych otrzymałem pozwolenie, szedłem z uczuciem nieśmiałości i pustki wewnętrznej. Nie wiedziałem co powiedzieć, niestety do skłóconych kobiet. Rozumiem ich, ale boleję, i wolno czytałem lekcje, oraz Ewangelię, aby odwlec przemówienie. Wiele, choć chaotycznie mówiłem, o konieczności pokoju i zgody z Bogiem, ale nie ma pokoju z Bogiem bez zgody z bliźnimi.

Gdzie są dwaj, tam jest podział -, a tam jest zarzewie niezgody, niechęci, kłótni. [...] prosiłem, namawiałem do zgody i obiecywano, że wszystko będzie dobrze, i było, ale krótko, i w ważnych momentach wybuchał pożar kłótni, niepotrzebnych słów. I znów trzeba przekonywać, prosić. cieszę się, bo poleciłem przeprosić obrażoną i skutek był dobry.

O 15^{30} celebrowałem Ofiarę Chrystusa, i serce mi rosło. Kościół wypchany po brzegi; nastrój, skupienie, duch modlitwy udzielał mi się i czułem, że wszyscy jednego pragnęli, aby Pokój Pański pozostał z nami na zawsze, aby *Baranek Boży obdarzył nas pokojem*. Czułem na [sobie] oczy wszystkich i coś jak przez moje usta, moje intencje, moje kapłaństwo hierarchiczne składali swoje ofiary, swoje życie, cząstkę siebie. Czuło się jedno serce, jedną modlitwę – jedność w Chrystusie Jezusie.

Pokój mój daję Wam.

I niech pozostanie On z nami.

2. I. 69

Nic mi dzisiaj nie wychodziło. Brewiarz odmawiałem przeszło godzinę, do penitentów nie wiedziałem co powiedzieć. Byłem senny, wciąż przychodziły mi niekontrolowane myśli. W czuwaniu biblijnym przemawiając brakowało mi słów, we Mszy św. raz po raz chwytałem się na niewłaściwych ruchach. W studium nic nie zrobiłem, w ciągu dnia przespałem dwie godziny. I pytam się sam siebie co to jest. Czy to zmęczenie przedwczorajsze, i wczorajsze, czy niewłaściwy skład pokarmów, czy inne działanie insuliny... Wiele tylko myślałem o swej niemocy i wstydziłem się tego sam przed sobą.

Ucieszyłem się słuchaniem przez 20 minut polskiej *Mszy bitowej* skomponowanej przez Katarzynę Gaertner. Śpiewana przez *Niebiesko-Czarnych* w kościele w Podkowie Leśnej. Nastrój dobry, ciekawe są akcenty muzyczne pewnych myśli, słów. Komentator radiowy *"Popołudnia z młodością"* krytykował tylko tekst i pewne naśladownictwo form zachodnich, stroną muzyczną i wykonawczą był zachwycony.

Powszechnie zauważają ludzie, że w okresie Świąt Bożego Narodzenia dzieje się dziwna rzecz – dość dużo momentów religijnych i pseudoreligijnych – ludowych. Pytanie, dlaczego? Dawniej nawet słowo Bóg było skreślane. O czym to ma świadczyć, czy nareszcie przejrzeli?

Popiół jestem, spopielona moja miłość. Już nic z siebie nie dam ani Bogu, ani ludziom.

Nie rezygnuj... przecież z małych iskier tkwiących w popiele powstają pożary. Wstań i idź. Te słowa okazały się zbawienne dla osoby, która myślała o samobójstwie. Już dziś trochę jest inna, ale kłębek, splot nerwów, ogrom niepokoju, atakująca pretensja, bez przyjaciół, bez rodziny.

Bóg jest tyranem – Co tutaj mówić. Najlepiej i najłatwiej, odczep się, daj mi spokój, zniknie problem. Za każdym razem, gdy zbliża się do konfesjonału, czuje nowe problemy. Nie ma uporu, ale jest beznadziejnie. Spowiedź uspokoi, a potem wszystko odżyje, i od nowa powstają konflikty z otoczeniem, z sobą, z Bogiem.

Zawiodłam się na wszystkich, nawet Bóg mnie opuścił. Odbiorę sobie życie nikomu niepotrzebne, zdradzona przez najlepsze przyjaciółki, z którymi chciałam dzielić nawet krew, odepchnięta przez córkę. Jeden zięć mnie rozumie, ale on musi żony słuchać. Nie chcę nikomu szczęścia zabierać. Męża kochałam ponad miarę. Znikł w ciągu dwóch tygodni. Wiedział dawno o chorobie, mówił do osób obcych, mnie nic nie powiedział. Czy mnie kochał, czy mi ufał? Obcym się zwierzył, a mnie zbył milczeniem.

Kochał Cię, ale nie chciał Ci przykrości sprawić, wierzył, że wyzdrowieje; ale odszedł. Powiedz, Tak Ojcze. Niech się dzieje wola Twoja. Kochaj go dalej i kontaktuj się z nim. On Cię kocha, więcej wiary w świętych obcowanie.

3. I. 69

Pierwszy piątek miesiąca i roku. Więcej chorych. Czasem trudno znaleźć słowo czy gest, które wlałyby otuchę, iskrę wiary, nadziei, akceptacji i zrozumienia, że starość czy choroba niosą z sobą niedołęstwo i cierpienie. Kto jest chory musi cierpieć, to jest jego zadanie. Ale jak cierpieć? Tego trzeba by nauczyć cierpieć i przezwyciężać beznadziejność, rezygnację, bunt.

Radością dla mnie jest Marysia Dobrzańska, 14 – 15 lat sparaliżowana, uszkodzenie kręgosłupu, operacja na serce. Już dziś znów chodzi, chociaż nosi na sobie 18 kg gipsu. W ciągu roku 3 śmiertelne operacje, albo tak poważne, że mały błąd i na całe życie kalectwo.

Dlaczego z wszystkiego wyszła obronną ręką, i wprost cudownie. Możliwe, że to cudownie. Przecież każdego miesiąca jest odprawiana za nią Msza św. w Tuchowie. Ale większy cud to jej optymizm, jej pogoda, jej chęć życia i dobre nastawienie do otoczenia, zaufanie do lekarzy. Cierpi, leżeć kilka miesięcy bez ruchu, z piekącym gipsem, to bohaterstwo, jeśli się nie narzeka, jeśli nawet się uśmiecha, jeśli nawet może dziękować, żartować, dobry nastrój rozdzielać.

Wdzięczny Ci jestem Boże za tę moc jaką dałeś tej dziewczynie. Jej uśmiech Ciebie mi przypomina. Jakże często w domu chorego jest odmienny obraz, chciałoby się uciekać, czym by można, nawet oknem. Trzeba jednak misję spełniać, Boga przekazać, Jego dobroć i wnieść nowy powiew entuzjazmu. Nie zawsze to się udaje. Wiadomo, że nie w naszej mocy jest coś zmienić, ale chcemy być usłużnym narzędziem Bożym.

4. I. 69

Maryja wszystkie słowa zachowywała w sercu i rozważała. Nie wiem, czy dosłownie zapisałem, ale sens zachowałem. Martwiłem się co powiedzieć w homilii w czasie Mszy wieczornej. Nic nie mogłem znaleźć godnego uwagi, i wtedy te słowa rozwinąłem. Przecież my także jesteśmy świadkami rzeczy, spraw Bożych dziejących się na ołtarzu, w każdej duszy i nie możemy obok tego przejść bez śladu. Mamy zachować te wrażenia w sobie, zapamiętać natchnienia, powziąć postanowienia i z nimi iść, aby je rozważać, aby realizować, aby innym przekazać jako Nowinę Bożą. To się powtarza każdego dnia, czy każdego tygodnia.

Maryjo ucz, dawaj natchnienia, bo jak przyniosłaś Ducha św. Elżbiecie i Janowi, przynieś Go nam każdego dnia, abyśmy pełni Jego darów mogli ochoczo słuchać Jego natchnień i z gotowością je spełniać.

5. I. 69

Myślałem, że dziś nie będę mówił żadnego kazania, budzę się rano – znajduję kartkę na klamce. *Proszę mnie zastąpić, ogarnęła mnie słabość sercowa.* Obsłużyliśmy niedzielę bez Przełożonego. Na pierwszym kazaniu czułem się bardzo źle, nic nie było spojone, rwała się myśl, materiałów żadnych, ale potem było znośnie. Kazanie ewangeliczne. *Panie, do kogóż pójdziemy. Ty słowa żywota masz.* Każdy, kto wzywa imienia Jezus, zbawion będzie. Imię Jezus przewyższa wszelkie imię, i mimo to są tacy, którzy nim gardzą, odrzucają. Historia powtarza się, zawsze są, którzy uważają Jego naukę albo za zgorszenie, albo głupstwo, albo szaleństwo, aby siebie usprawiedliwić i nie uznać, że Jezus jest Prawdą, objawił Ojca i Jego Tajemnicę, jest Drogą, bo wskazał drogę doskonałości i o niej pouczył, jest Życiem, bo dał nam życie Boże i wciąż daje się nam pod postaciami eucharystycznymi.

Daje nam zbawienie; ale *"człowiek współczesny, nowoczesny* – jak twierdzi filozof francuski Leon Brunschvieg – *to ten, który nie potrzebuje zbawienia".*

Czy litować się nad takim powiedzeniem? Czy zastanowić się dlaczego człowiek nowoczesny tak sądzi? Może nie rozumie zbawienia, może źle rozumie Jezusa-Zbawiciela. Dlaczego Chrystus dla wielu jest kimś dalekim? Chrystus niesie nam zbawienie, czyli coś, co nam brakuje, czego sami sobie dać nie możemy. Tymczasem, człowiek jest oszołomiony nowością, perspektywą poznania wszystkich tajemnic, przerastania siebie, samowystarczalnością, unikania interwencji Kogoś i Czegoś nadrzędnego, i stąd uważają, że Chrystus nie ma prawa trwać i wpływać w epoce lotów kosmicznych.

Ale nie rozumieją i nie chcą zrozumieć Chrystusa, zawsze zdaje się być zgorszeniem, głupstwem, dlatego, że nie chcą wykroczyć poza porządek wartości doczesnych, dlatego, że świadomie, czy podświadomie rezygnują z pełni człowieczeństwa jaką osiągnąć można korzystając z wartości nadprzyrodzonych.

Nie być chrześcijaninem – to znaczy znajdować wystarczającą rację istnienia na tym świecie (J. Riviere), czyli praktycznie mówić, jak kiedyś niewierzący powiedział: *"po cholerę mi żyć po śmierci".* Ale stwierdzeniem nic się nie załatwi. Może nieświadomość przebaczy Pan, ale dając łaskę świadomości trudno pozostawać w

uporze, bo to znaczy przekreślać dary Boże, odrzucać propozycję doskonałości, świętości, zbawienia. Zbawienie to owa pełnia człowieczeństwa, ów szczyt możliwości człowieka pod każdym względem. Człowiek doskonały to połączenie harmonijne doczesności i wieczności, natury i łaski, zjednoczone w jednym działaniu człowieka i Boga. W życiu człowieka Zbawiciel to ten, który umożliwił nam osiągnięcie tej pełni, dał warunki do jej osiągnięcia przez wysłużenie nam zdolności działania w czasie dla wieczności. Ta zdolność nazywa się łaską.

Bóg-Człowiek objawił nam nas samych. W Nim objawił się ludziom jako Ojciec chcący zbawić wszystkich ludzi. Odwieczny Jego Syn, jako człowiek otrzymuje imię Jezus, Zbawiciel. Przez niego związał nas z sobą, gdy *Słowo stało się Ciałem*, bo Jego ciało dotyka naszego. W Nim Bóg stał się naszym bliźnim, naszym bratem.

6. I. 69

Gwiazda prowadziła Mędrców, są godni podziwu za dary i poświęcenie, aby znaleźć Jezusa. Kierowali się dobrą wolą, a jednak mało brakowało, a przyczyniliby się do uśmiercenia Dziecięcia. Wszystko naprawił Bóg swoją interwencją. Chcieli znaleźć Jezusa w Jerozolimie, tak mówił im zdrowy instynkt, a spotkali zakłamanie. Można ludzi podzielić na tych, którzy szukają Boga, aby Go uwielbić, i na tych, którzy szukają Boga, aby Go zabić, we własnej duszy, czy w sercu innych.

Kto dochodzi do takiego stanu, że podnosi rękę na Boga? To ci, którzy zagubili gwiazdę przewodnią swego życia moralnego – sumienie, dobre, czułe, szlachetne. Tajemnice ludzkiej duszy są niepojęte. Każdy ma dane, aby być świętym, ale także każdy może stać się karykaturą człowieka, zaprzeczeniem wszelkich wartości moralnych.

Ta perwersja ludzka ma różne stopnie. Nawet ci, którzy są przekonani, że idą za gwiazdą Chrystusa, jakże często znajdują się w błędzie. *Przeraża mnie* – powiada penitentka – *duchowość księży. Często bywają w moim domu, jakże inaczej mówią, a inaczej postępują. Nie mogę słuchać ich kazań, bo znam ich zbyt dobrze, dlatego przeniosłam się do was naddając drogi, do was nie znam.* Co Ciebie tak razi, przeraża, gorszy? *Nic mnie nie gorszy, bo ludźmi są, ale mnie mogę pojąć; ludzie inteligentni, wykształceni, na wysokich stanowiskach, ale wprost pycha ich zjada. Nie dadzą sobie powiedzieć prawdy w oczy, a gdy ją usłyszą, jakoś podświadomie szukają odwetu. Jakże łasi są na pochwały, na uznanie, na adorację.*

Czyż to nie jest stawianie siebie na miejscu Boga?

7. I. 69

Zjazd kleryków, jeszcze nie ma wszystkich. Co skorzystali przez Święta? Jakoś schematycznie patrzą na rzeczywistość duchową. Więcej znaczy tradycja, nawyki, niż szukanie własnej drogi. Czy to brak inteligencji, czy postawa starszych, która im imponuje, czy wciąż w kapłanie widzą tego, któremu pokorny ludek ręce całuje i słowa pochlebne mówi? Nie z każdej mąki będzie chleb, dobry chleb, bo zakalec i z dobrej można zrobić.

Niech wzrasta w nich Jezus, niech ten proces, choć powoli, ale stale trwa. Cierpliwości! Wytrwałości!

8. I. 69

Nowe teksty do Mszy żałobnych. Wymagają szukania, ale nareszcie coś nowego i nawet z homilią będzie łatwiej. Stwierdzić trzeba, że mamy ludzi nie wychowanych do liturgii, gotowi są walczyć do upadłego o czarny kolor za zmarłych nawet 30 lat temu. Wina jest po naszej stronie. Jakże często trzeba księży przekonywać, bo czarny to najkrócej, bo jak się odnowi, to się od siebie odstraszy, to będzie brak intencji. Niestety, coś to pachnie handelkiem i upraszczaniem sprawy. Jak tu mówić o świadomym udziale w liturgii. Liturgia jest wymagająca, chce dużo czasu, przemyślenia, trochę inwencji, wysiłku. Nawet klerycy zbywają recytację i czytanie lekcji...

9. I. 69

Dzień skupienia. Mam wyrzuty, że tematyka jest banalna, a sposób podania małostrawny, nieatrakcyjny. Dlaczego? Wydaje mi się, że racja jest pośrodku. Klerycy woleliby słuchać historyjek, nastrojowych przykładów, czy sensacji, ale na łatwizne nie można iść. Z mojej strony jest ta wina, że nie uwzględniam ich poziomu inteligencji i posiadanej kultury duchowej, i stąd moje mówienie, chociaż nie trafia w próżnię, jest mało skuteczne. Dużo przyczynia się brak zaangażowania osobistego. Łatwiej jest kierować się regulaminem, niż myśleć samodzielnie i szukać.

Rozważaliśmy chrzest jako wszczepienie w Chrystusa i rolę chrztu w życiu duchowym. Oprócz trzech konferencji było rozmyślanie, wnioski i praktyczne zastosowanie z obrzędów chrztu św., homilia w czasie Mszy św. i druga homilia w czasie czuwania biblijnego. Stwierdziłem, że bardzo są zawsze mocne nawyki do tradycyjnej duchowości i praktyk modlitewnych w starym, indywidualnym wydaniu, a przede wszystkim brak zapału do *"nowego"*. To martwi, ale bardziej martwi fakt skąd się to bierze?

Chyba stąd, że wśród kapłanów – poważnych, z tytułami i godnościami, a także bogatych w wiek i doświadczenie są tacy, którzy tęsknią za starym i na wykładach mówią, że niedługo wszystko wróci do *"normy"* i będzie ten masowy pochód do Boga w tajemniczości, w nastroju. Co o tym sądzić? Ubolewać trzeba, ale nie dyskutować – bo dyskusja nic nie pomoże. Wielu młodym to imponuje, bo to powiedział prałat, bo to nie wymaga wysiłku, bo nie trzeba się angażować. Kiedy młodzi ludzie zrozumieją, nie chcę nacisku, ale ten owczy pęd mnie przeraża.

10. I. 69

Mróz trzyma, minus 18-23 w okolicy. Pojechałem na spowiedź do Szynwałdu. Wszystko szło jak po grudzie, autobus spóźniony – przeszło pół godziny. W kościele może serca rozgrzane, ale powietrze dosyć ostre. Spowiedzi – prawie wszystkie

generalne, nawet z przeżyciem, ale bardzo proste, naiwne, stereotypowe i rzadko odbywane. Jakże dużo bojaźni unicestwiającej świadomość życia Bożego w duszy, a brak miłości i bojaźni, która się boi obrazić najlepszego Ojca, bojaźni twórczej – pchającej do Stołu Pańskiego, choćby w niedzielę, aby uzyskać przebaczenie, posilenie, lekarstwo i pomoc na cały tydzień.

Wróciłem wcześniej niż planowałem. Proboszcz kazał mi przerwać spowiedź i skorzystać z okazji samochodu do Tarnowa, spowiadałem 1,5 godziny tylko. Zmarzłem na kołek, to mnie przeraża, łatwo marznę, muszę się bardzo ciepło ubierać, mam słabe ukrwienie.

11. I. 69

Imieniny Siostry Honoraty – przełożonej. Modliłem się w jej intencji. Podziwiam u niej szczerość powołania, zawsze dobrą wolę i bezwzględne poświęcenie. Oby Bóg dał jej więcej inicjatywy osobistej – szerszego spojrzenia. To nie są jej błędy, czy wina, różnie Bóg rozdaje swoje talenty. Nie jest nowoczesna w szukaniu wygody, w powołaniu daje całą siebie. Nie zna spraw własnych, wszystko jest Boże.

Wyrzucam sobie, że wiele czasu zmarnowałem. Nie warto długo pracować w nocy. Spałem tylko 4 godziny i cały dzień przez to przeminął z wiatrem. Wielka pokusa to gazety niedzielne, zawsze dają jakiś pogląd, ale kradną czas niemiłosiernie. To interesanci, to goście, to dyskusje, to penitentki co dwu tygodniowe... Plan pracy na najbliższy rok...

Spotkał mnie wczoraj zarzut od penitentki, że jestem zbyt łagodny, bo to co jej w imieniu Chrystusa przebaczam, zostało bardzo napiętnowane przez spowiednika w Szczawnicy na wczasach. [...]

Czyż można potępiać dobrą wolę, czyż można być surowym, kiedy mnie potrzeba najwięcej miłosierdzia, czy możemy powiedzieć, że dajemy sprawiedliwe pokuty, co my o tym wiemy? Tylko doprowadzić do stanu, aby miłość Boża przynaglała ich do rewanżu, biednego bo biednego, ale totalnego.

12 – 19. I. 69

Zaniedbałem się w pisaniu swoich uwag i wrażeń. Wyjazd do Warszawy, do Kielc, zajęły mi dwie noce i dzień; a resztę trzeba było na inne sprawy wykorzystać. Ostatni tydzień był dla mnie minusowy – do kleryków nie wygłosiłem żadnej konferencji, w kościele nie głosiłem kazań niedzielnych – już drugą niedzielę z rzędu czytamy Listy Episkopatu Polski. Ciekawe, ale siedmiomilowe – tak, że dzisiaj trudno w jednej godzinie zmieścić się z nabożeństwem. Odnosi się wrażenie, jakoby biskupi sądzili, że długimi listami przekonają słuchaczy, a tymczasem skutek jest inny – nawet najciekawszy, zanudza, jeśli jest długi. Ludzie, nie wiem czy z powodu wygody, czy zmęczenia, czy z braku [zdolności] do ofiary i wyrzeczenia nie znoszą długich nabożeństw.

Na siłę trudno coś wprowadzać i narzucać, kiedy nawet Pan Bóg nikogo siłą nie ciągnie do zbawienia, tylko stawia propozycję. *"Jeśli chcesz"* to chodź, naśladuj, zachowuj, bądź człowiekiem, szanuj swoją godność.

X. Mieczysław wrócił z NRD po dwutygodniowym pobycie, urzeczony, zachwycony atmosferą braterstwa, otwartości, prostoty, elegancji, poziomu intelektualnego, kultury, szerokich horyzontów, stosunku do niego Oratorium niemieckiego (NRD). Tyle dowodów szczerej, konkretnej przyjaźni i usłużności, pomocy, bo właściwie miał w ręce 100 marek, a mógł być o wiele dłużej, problem gotówki nie istniał.

Ruch liturgiczny w NRD jest bardzo zaawansowany, o wiele więcej zrozumienia dla uwspółcześnienia liturgii i zaangażowania wszystkich uczestników. Kapłani nie odmawiają brewiarza w czasie nabożeństw, uczestniczą jak wszyscy wierni – śpiewają, recytują, wstają, odpowiadają. Przeżył rzecz ciekawą. Oratorianie niemieccy urządzają spotkania kongregacyjne i zawsze czynią to w okresie świątecznym. Słuchają odczytów wybitnych naukowców, nawet protestanckich, czy kobiet-teologów, i wtedy ciekawa rzecz – nie celebrują wszyscy, ale jest jedna Msza, a pozostali przyjmują Komunię pod dwiema postaciami; nawet kobiety i świeccy, każdy bierze komunikant do ręki i zanurza w konsekrowanym winie – we Krwi Jezusa Chrystusa.

Uderzała naszego turystę wielka umiejętność dyskusji na wysokim poziomie naukowym członków Oratorium.

Katolicy stanowią 10% w ogólnej liczbie, z tego 60% praktykuje, a ci praktykujący są czynni, zainteresowani.

Jaki jest tryb życia? Dużo wina, piwa, tłustych rzeczy, noszą się w cywilu, tylko kościół i zakrystia jest świadkiem sutanny.

Przywiózł wiele książek. Mnie zainteresowała książka o Filipie.

Moje opracowanie o kierownictwie św. Filipa spotkało się z pozytywną oceną p. Zygmunta Kubiaka, ale jego zdaniem rzecz nie nadaje się do publikacji dla szerokich kręgów czytelników. Rzecz specjalistyczna, tylko dla znawców kierownictwa duchowego. Nie wiem, czy starać się o wydawnictwo, czy też pisać od nowa. Szukam natchnienia Ducha Świętego, aby mi dał odpowiedź, co robić, a jeśli mam pisać to jak. Chcę, aby Filip chociaż trochę więcej był znany w naszej Ojczyźnie. Przykra to rzecz, że ludzie mieniący się teologami nie znają Filipa, chociaż tyle razy im się tłumaczy. Znają go jako wesołka, jako świętego oryginalnego, ale nie znają jego ducha, jego inicjatywy, jego inspiracji, jego nowości, tak twórczych i znamiennych dla nowej duchowości, duchowości optymistycznej.

Szukam *"Walki duchowej"* Scupolego, nauczę się z niej lepiej rozumieć Filipa. Mam wrażenie, że jest to najmniej zrozumiany święty, a największe zaniedbania mają w tej znajomości oratorianie. Żyjemy tradycją, która daleko odeszła od idei Oratorium, po drodze 4-ch wieków podświadomie ulegając piryzmowi (?), skłonnościom monatyzmu (?), wierności literze. Brakuje nam świeżości. Oratorianizm – to nic innego jak kroczenie w czołówce, na czele, w wyszukiwaniu nowych metod pracy duszpasterskiej, która zdolna byłaby działać masowo i skutecznie, a zarazem radośnie; oraz nowych form życia kapłańskiego odpowiadającego duchowi czasu – nic nie tracąc z wysokiego poziomu duchowości kapłańskiej.

Do osiągnięcia tego trzeba wspólnego dążenia oratorianów oraz dużego zaufania i możliwej swobody ze strony Ordynariusza, bowiem wszystko nowe wymaga eksperymentu i łączy się z ryzykiem. *Gdzie drzewo rąbią, tam drzazgi lecą.*

Nasza polska przeszłość nie była różowa, jedynie. Gostyń i Tarnów – nie zawsze mając wybitnych ludzi – potrafiły trzymać trzon życia duchowego i być przykładem

dla kapłanów diecezjalnych. Najtragiczniejsze placówki to Studzianna i Biechów. Brak centralizacji i czynnika wizytacyjnego, tak ze strony kongregacyjnej, jak i ze strony Ordynariusza, doprowadziły z powodu braku powołań (brano każdego eksa i każde powołanie) do katastrofalnych sytuacji – w Biechowie skończyło się to kasatą, w Studziannie sprowadziło kilka wizytacji prymasowskich i biskupich, aż do likwidacji przez władze kościelne.

Pisząc o tym, same złe rzeczy, dobrych nikt nie zapisywał – i stąd urosła historia skandalów.

W tym roku Kongres Oratoryjny – już odbywają się podkongresy.

Nie uczyniliśmy jeszcze nic...

20 – 23. I. 1969

Wiele refleksji przynoszą ostatnie dni: najpierw umierają i są umierający bliscy znajomi, a okoliczności w jakich przychodzi śmierć są zawsze zaskoczeniem. Byłem na pogrzebie obywatela Tarnowa – p. G. Augustyna, wujka Podkościelnego. Zmarł w Katedrze będąc na Mszy św. Dziś odbył się pogrzeb p. Adolfa Liszki, murarza z Krzyża, budował dom w Bereście, przebudowywał naszą kaplicę. Człowiek nie młody, ale zmarł nagle. zawsze byłem pełen podziwu dla jego uczciwości, pracowitości, solidności, dobrego współżycia i pobożności. Miał wiele kłopotów rodzinnych z zięciem, umysłowo chorym. Uważam – był świętym. I wreszcie pani Sklenarska, jeszcze nie stara – zżera ją rak płuc. Każdy musi umrzeć, ale zmarła matka dzieciom, ona stała się dla nich matką, i teraz ona musi odejść. Cóż, gdyby nas ogarnęła mała wiara, musielibyśmy krzyczeć przeciw Panu Bogu, ale cóż Bóg nie jest starszym panem naprawiającym ludzkie błędy i ostrzegającym – nie rób tego, nie chodź tam.

Inne wrażenia – to samobójcy w Czechosłowacji przez oblanie się płynami łatwo palnymi i czynienie z siebie żywej pochodni. Dziwne to jest, rozpaczliwe, niepojęte, tragiczne. Modliliśmy się w tej niedzieli o pokój – taka jest modlitwa Mszy św., a pokoju nie ma. Wietnam krwawi, i po co? Izrael staje się coraz bardziej czupurny i grozi bombą atomową, a jeśli ZSRR użyczy bomby atomowej Arabom wojna światowa będzie nieunikniona. Świat się dzieli, niektórzy są neutralni. Ojciec Święty wciąż wzywa do pokoju i prosi o pokój, ale bezskutecznie.

Obchodzimy *Tydzień modlitw o jedność chrześcijan*. Tu jest tragizm wieków. Być wyznawcami jednego Chrystusa, mając tyle tytułów do jedności i będąc przeznaczeni przez Boga, aby wobec 2 miliardów ludzi na świecie dawać świadectwo Bożej prawdzie i miłości. Ci, którzy mają być znakiem Boga i środkiem zbawienia świata kłócą się ze sobą. Czyżby modlitwa Chrystusa, *"aby wszyscy jedno byli"*, miała być bezskuteczna.

Wiele się zmieniło. Nas w Tarnowie mało te rzeczy interesują, nie mamy problemów, bo nie mamy w wielkiej ilości chrześcijan innych wspólnot. Dotychczas nawet nie wspominano *Tygodnia modlitw*, dziś czyni się to nieśmiało, ale jednostronnie, bez udziału wyznawców Chrystusa z innych wspólnot. Lecz zainteresowanie wzrasta: słuchaliśmy Listu Episkopatu Polskiego w ubiegłą niedzielę, napisany w dobrym nastroju, pokojowym, braterskim. W poniedziałek zastanawialiśmy się nad pytaniem: Co to jest ekumenizm, bo świadczyć mogę, że powtarza się to słowo we wszystkich

wypadkach, a nie czyni się sprawdzianów, czy to słowo wszyscy słuchacze rozumieją. Ekumenizm dotyczy zjednoczenia chrześcijan, to jest oczywiste – i cieszymy się, że ostatnie lata sprawiły, że zburzono mury obronne i zniesiono granice nienawiści, odwołano słowa potępienia, doprowadzono do znośnych, a nawet bardzo poprawnych stosunków – wiele nas dzieli w dziedzinie doktryny, treści wiary, a zdaje się, że najwięcej trudności sprawiają ambicje.

Jest jeszcze inny ekumenizm, dotyczy zbratania wszystkich wierzących w jednego Boga i wszystkich uznających pogląd dualistyczny – czyli uznający problem religii w życiu człowieka. W dzisiejszej rzeczywistości ten problem jest coraz bardziej aktualny, bo świat zaczyna się dzielić na wierzących w Boga i twierdzących, że nie wierzą.

W naszej rzeczywistości trzeba pomyśleć o rodzimym realizowaniu ekumenizmu, mianowicie o realizowaniu miłości braterskiej w chrześcijaństwie, w swoim otoczeniu, bo jak w rodzinie najczęściej dochodzi do antagonizmów, tak w rodzinie chrześcijańskiej jest podobnie; ekumenizm trzeba zacząć od samego siebie, od braterstwa i miłości względem najbliższych i sąsiadów.

We wtorek na Nowennie do M.B.N.P. zastanawialiśmy się nad rolą, czy przeszkodą M.N. w zjednoczeniu chrześcijan.

Wobec prawosławia jesteśmy w porządku. Mamy więcej motywów do jedności niż do rozbieżności. Wschód uczy nas pod wieloma względami kultu Maryi, a obraz M.B.N.P. jest tworem artyzmu i pobożności ludzi Wschodu.

A protestanci, – zastanawiać nas musi ich upór; właściwy ich założeniom, ale nie mający uzasadnienia w Piśmie świętym. Przecież przyjmować, że żaden człowiek nie może nie może być dobry i nie może być narzędziem łaski z woli Boga jest co najmniej niekonsekwentne wobec źródeł objawienia i doświadczenia wieków.

Wróćmy do kultu M.B. w protestanckich wspólnotach. I tam są ludzie, którzy praktyką przeczą zasadom i modlą się za pośrednictwem M.B. do Boga, jak pastor Jan de Saussere: *Zresztą skoro w miłosierdziu swym raczyłeś uczynić nas swymi braćmi, jakżeby mogła Matka Twoja nie być również Matką członków Twego Ciała, nas, którzy jesteśmy z Tobą jednym duchem? (J. Ghitton, Maryja, s.210).*

Najbardziej podoba mi się argumentacja pastora ks. Michelisa z Warszawy. Znany on jest z intencji prokatolickich, i to mu jego podopieczni wyrzucają. Kiedyś chcieli go przez ogródki ostrzec i dać do zrozumienia, że są innego zdania. Przystąpili do dyskusji wysuwając zarzut, że katolicy oddają niewłaściwą cześć M.B., wprost taką jaka należy się samemu Bogu. Michelis zapytał ich w jaki sposób Ją czczą? Usłyszał odpowiedź: mówią do Niej, *Zdrowaś Maryjo... błogosławiony owoc żywota Twego.* P. Michelis stawia pytanie, a gdzie te słowa znajdujemy? W Ewangelii św. Łukasza, pada odpowiedź. A czyje to są słowa? Anioła i Elżbiety!

Jeśli Pismo św. oddaje Jej taką cześć, czy w takim razie nie wolno tego czynić chrześcijanom? Przecież czynią to, co jest w Piśmie św.

Odpowiedź była dosadna, ale zarzuty szły dalej; to im wolno, ale katolicy modlą się dalej – *"Módl się za nami grzesznymi..."*, a tego już w Piśmie św. nie ma, i co dalej – to jest nadużycie, przecież jedynym pośrednikiem jest tylko Jezus Chrystus.

Wtedy odpowiada Michelis: Jeśli macie jakieś troski i problemy, jeśli chcecie coś otrzymać od Boga przychodzicie do mnie i prosicie, Pastorze pomódl się w tej sprawie, proś o to Boga. Jeśli mnie o to prosicie, to czyż nie wolno o to prosić Matkę Bożą? Gdzie mi tam równać się z Matką Chrystusa!

Wniosek: Osoba Maryi nie powinna być przeszkodą, ale może się przyczynić do przygotowania zjednoczenia. Przecież Jej jedyną wolą jest wola Jej Syna, który modlił się *"aby wszyscy jedno byli"*.

Wolno nam i trzeba prosić Maryję, aby była dla wszystkich wyznawców Chrystusa – Matką.

Jednym z czynników jedności jest chrzest. *"Jedna wiara, jeden chrzest..."* Wszyscy chrześcijanie przyjęli chrzest – inaczej nie byliby uczniami Chrystusa, nie zostaliby wszczepieni w Jezusa Chrystusa. Każda społeczność chrześcijańska uznaje sakrament chrztu św. Zresztą nie da się zaprzeczyć chrztu św. – ma mocny fundament skrypturystyczny. Dlatego trzeba nam przeżywać istotne problemy chrztu św. i następstwa, a wtedy zobaczymy, że u jednego źródła jesteśmy, że wszyscy w Chrystusie trwamy, że z Chrystusa czerpiemy łaskę i Chrystusa uczniami jesteśmy, a jeśli uczniami to musimy usłyszeć słowa Chrystusa: *"Po tym poznają, że jesteście uczniami moimi, jeśli miłość wzajemną do siebie mieć będziecie"*.

Chrzest jest fundamentem naszej przynależności w chrześcijaństwie, naszego braterstwa, jedności.

Różnimy się w przyjmowaniu Tradycji, ale w zasadzie wszystkie społeczności przyjmują za podstawę swoich zasad Pismo św. – Słowo Boże: *"Kiedyś Bóg przemawiał przez proroków, dziś przemówił przez Chrystusa, Syna Swego"*. Wypowiedział Bóg Słowo, a Słowo Boże jest żywe – to nie martwa litera, ale Słowo, które dla każdego pokolenia ludzkości jest twórcze i właściwe i rodzące życie. Ale nie można być tylko słuchaczem Słowa, trzeba być wykonawcą Słowa, a także narzędziem skuteczności Słowa Bożego wobec tych dla których Bóg uczynił nas świadkami samego siebie.

Nie będziemy w ekumenicznym ruchu narzędziem Słowa Bożego wobec innowierców czy pogan, ale są wśród nas ludzie, którzy są ochrzczeni, a jednak Słowo Boże jest im obce i obojętne. Nasza wierność Słowu ma być działaniem Boga i narzędziem zbawienia dla nich.

24 – 29. I. 69

Osoba Chrystusa łączy nas – wszyscy wszczepieni jesteśmy w Chrystusa i dzięki Krwi Chrystusa wszyscy dostępujemy odpuszczenia grzechów. Każdy z nas, mając jakie takie poczucie odpowiedzialności, musi wyznać – grzeszny jestem. Codziennie jakieś zło czepia się duszy. Każda prawie godzina znaczy się wyrzutem sumienia. Jeśli nie grzechem – jako buntem przeciwko Bogu, to grzechem zaniedbania, opieszałości, opuszczeniem okazji uczynienia dobra. I ta świadomość winy łączy nas, a jeszcze bardziej zespala nas to, że tylko dzięki miłości Chrystusa, Jego dobroci możemy pozbyć się koszmaru świadomości naszej przeniewierności, [...] winy i zabijania dobrego nastroju.

Może w tej sytuacji jesteśmy my wierzący, a zwłaszcza katolicy, w lepszym położeniu, bo człowiek niewierzący, mając jakie takie sumienie, musi dręczyć się z tym bagażem. To wszystko przygniata go, nikt nie przejmuje jego winy na siebie, nikt nie jest zdolny, nawet po zwierzeniu, przyjąć na siebie część odpowiedzialności, nawet zapomnieć nie potrafi, wszystko puścić w niepamięć, zatrzeć z czasem. Jest

człowiek sam. Także w protestantyźmie ta indywidualna sprawa pokuty z Bogiem, czy generalna absolucja nie dają tej pewności, co przykre, co prawda, wyznanie win spowiednikowi, ale w zamian słyszy tylko do siebie skierowane słowa: *Ufaj synu, ufaj córko, odpuszczają ci się grzechy twoje, boś bardzo umiłował. Idź w pokoju. Nie grzesz więcej. Oto Cię rozgrzeszam z grzechów twoich w imię Ojca i Syna i Ducha Św.*

Świadomość grzechu łączy nas wszystkich, a jeśli tak, to łączy nas także nadzieja dostąpienia miłosierdzia, czyli jeszcze jeden punkt styczności, wspólnoty, jedności. Wyłączam się z trzody, błądzę, kiedy grzeszę, ale Dobry Pasterz – znajduje, opatruje i przynosi na ramionach z powrotem do trzody.

Mój grzech nie jest moją sprawą prywatną, czy sprawą moją i Boga, którego obraziłem, a któremu zaufałem. Nawet wtedy, kiedy grzech nie łączy się z krzywdą społeczną, nie ma nic wspólnego z bliźnim, bo nie rani ani sprawiedliwości, ani miłości, grzech nie jest sprawą *"moją"*, bowiem przez grzech sprzeniewierzam się społeczności, do której należę. Wyłączyć się nie mogę, a razem z innymi nie idę zgodnie – jestem hamulcem, jestem czynnikiem, który niesie zastój albo zniszczenie, ale bez nadziei nowego zrodzenia. Dopiero, kiedy uznam swój błąd, kiedy zwrócę się i powiem zgrzeszyłem przeciwko Niebu i przeciw wam, kiedy zmienię nastawienie, wtedy moja śmierć staje się zalążkiem nowej energii i dzięki niej może powstać nowa siła, nowy zapał, który staje się dobrem społecznym, bo pobudza, zachęca, prowadzi innych.

Grzech jest tajemnicą w swym istnieniu. Nie chcę go, brzydzę się nim, potępiam go, a jednak upadam, a jednak sam sobie zaprzeczam. *Baranku Boży, który gładzisz grzech świata..., obdarz nas pokojem* – bo darowanie winy wlewa pokój, przyjaźń, nastrój, chęć rewanżu, zapał, dlatego tak często trzeba nam pytać się, Chryste dlaczego masz ręce przebite? Z miłości ku Tobie Synu! Dlaczego masz cierniową koronę na głowie? Bo cię kocham, mój bracie.

Żal, serdeczny, doskonały żal – jakże krótka modlitwa, ale jakże blisko stawia nas wobec Boga i przed Bogiem, nie w poniżającej postawie, ale pełnej ufności, dziecięcej, wobec Ojca zatroskanego, szukającego, oczekującego.

Szukamy długich modlitw, i modlitwę mierzymy ilością zmówionych pacierzy, a tak bardzo trzeba nam się uczyć i innych wychowywać, aby żalem się modlić, aby przemawiać całym swoim jestestwem, aby wyciągnąć rękę słabą po pomoc.

I w sobotę ostatnia nauka, rozważanie, o jedności. Długo się zastanawiałem, jaki temat obrać? Różne myśli chodziły po głowie, a temat był blisko. Komunia – jedność. W Komunii łączymy się z Chrystusem i każdy łączy się ze wszystkimi, którzy pożywają ten sam Chleb połamany, którzy są uczestnikami jednego stołu i spożywają jedno Ciało i piją z jednego kielicha.

Interkomunia staje się coraz popularniejsza, ale równocześnie została napiętnowana i należy uważać, że będzie należeć do rzadkości, ale w jakiej mierze Chrystus obecny w Eucharystii jest przeszkodą do jedności? Jeśli się nie wierzy, że On jest, to trzeba się kłócić z tymi, którzy wierzą i stąd powstaje rozbieżność doktrynalna.

Ale właściwie wszyscy wierzą, że w jakiś sposób jest w czasie akcji, czyli, że jest podstawa, na której można rozważać możliwość dialogu, a zarazem przez Chrystusa Eucharystycznego realizować jedność.

Wielkie pole do popisu mają prawosławni i katolicy, wiara w obecność nie różni się, pod jedną, czy dwoma postaciami nie jest dzisiaj kamieniem obrazy, i u nas raz

po raz – jest Komunia pod dwiema postaciami. Powiedziałem u nas, ale *"u nas"* – to ogólnie w Kościele, bo w Polsce trudno nawet prosić. Jest powieść *"Na Zachodzie bez zmian"*, a o naszej sytuacji trzeba by powiedzieć: *"W Polsce bez zmian"*. Oddolne pragnienie aktywnego duchowieństwa, bo tylko takie interesuje się pożądanym *"novum"*, uzasadnione żądanie świadomego laikatu pozostają bez echa. No cóż, uczestniczymy we władzy królewskiej Chrystusa – wszyscy, chociaż w różnym stopniu, ale mieć wpływ i decydować może niewielu.

Komunia jest konieczna jako znak ofiary i zadatek przyszłej jedności w jednym Królestwie, bo w eschatologii nie będzie podziału, a każdy zbawiony – obojętnie z jakiej społeczności – nie będzie miał powodów do chełpienia się, czy nawet różnicy zdań.

Komunia jest praktycznym wyrazem jedności, ekumenizmu, ale jeśli jej nie ma powszechniej i na co dzień w katolicyzmie, jest tylko od wielkiego święta – raz, dwa razy do roku, trudno mówić o świadomości jedności i realizowaniu tej jedności w społeczności katolickiej.

Kończymy jednak ten *Tydzień* z optymizmem. Kiedyś pęknie skorupa obojętności, zastarzałych błędów, nieufności. Tylko działać i być cierpliwym... *Nie od razu Kraków zbudowano.*

Po dwóch niedzielach z listami, kazanie na wolny temat. Co mówić? Najgorzej temat obrać. Ostatecznie zdecydowałem się: Modlitwą wyznajemy wiarę, ale zarazem prawdziwa modlitwa wypływa z wiary i kto naprawdę wierzy już się modli. A kto się modli, choćby tylko gestem znaku krzyża św., zdjęcia nakrycia głowy, przyjścia na Mszę św. – to przejawy naszej wiary.

Uczestniczę w liturgii słowa, aby słuchać [...] napomnień św. Pawła, czy innego Apostoła lub Proroka, aby obserwować i słuchać Chrystusa w Ewangelii, aby słuchać kapłana, który na mocą władzy proroczej Chrystusa przemawia w imieniu Chrystusa, i z pomocą Ducha Świętego.

Coraz mniej ludzi modlących się z nawyku, czy uczestniczących w liturgii z tradycji, z nakazu – dzisiaj idą ludzie z przekonania. Chyba tak, może jeszcze dzieci, ale one zawsze takie będą, i dzieci jest coraz mniej w kościele, bo są rodzice, którzy nie zachęcają, nie zmuszają, a często mając katolickie przekonania nie zachęcają dzieci, aby one nie zmęczyły się. Muszą odpocząć.

Podobają mi się ci bohaterowie Ewangelii – Trędowaty: *"Panie jeśli chcesz, możesz mnie uleczyć"*, albo Setnik: *"Panie nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, ale rzeknij..."* Ile pokory, wiary, subtelności, u drugiego wiary w Jezusa, z mocą Bożą, i poczucia niegodności... W sumie dwie Msze św. i 6 kazań. Były krótkie.

Nocował u nas biskup Obłąk w drodze na konsekracje ks. bpa Gucwy w N. Sączu. Przystępny, grzeczny bp Obłąk, bo konsekrowanego nie znam. Zresztą on sam siebie nie zna. Bo prawie każdy bp, kiedy go zamianują, wykonsekrują, kanonikom i prowincjałom ręce całuje, kolegom mówi po imieniu i każe mówić po imieniu, za rok zachowuje się jakby nikogo nie znali. Dziwne, ale prawdziwe. Co w tym jest? Czy to nie feudalizm? Wmówienie człowiekowi, że jest zdolny, że..., że... Uwierzy, że jest geniuszem i na wszystkich patrzy z góry... Ma być sługą, a jest nim rzadko, a jeśli kiedyś jest, to jednym feudalnym gestem wszystko przekreśli. To nie jest najgorsze. Bardziej niebezpieczne jest to, jeśli bpbp uważają księży za niedouczonych, nieodpowiedzialnych, a sobie każdy z osobna przypisuje dar nieomylności, i

nie ma miejsca na dyskusję. *"Pamiętaj z kim rozmawiasz, z biskupem?"*, i wtedy na ogół zamykają się usta:

Trzeba czekać, musi przyjść nowa generacja, bo obecni na soborze byli, wiele widzieli, ale to nic nie pomogło.

Wziąłem do ręki książkę o Pasteurze *"Wróg pod mikroskopem"*. Czułem się nie najlepiej, więc czytałem. Pisała tę książkę autorka radziecka Kuznecowa. Wydaje mi się, że obiektywnie, z miłością, nawet nie ominęła praktyk religijnych Pasteura, czy zachęt do modlitwy. W ciągu dnia przeczytałem ją.

Dzisiejszy dzień – to zmarnowałem, tak zeszło. Mam pisanie, a jakoś nie wychodzi, zły jestem, schodzi dzień po dniu, a doktorat leży odłogiem.

Nowennę prowadziłem i zawsze pytanie co powiedzieć? Wychodzę z założenia, że Nowenna ma służyć jako uświadomienie sobie najważniejszej intencji tygodnia, intencji aktualnej, i wobec tego – ponieważ rozpoczął się okres egzaminów – trzeba się modlić w intencji młodzieży, aby asystowała jej moc Ducha Świętego, aby ucząc się stawała się mądra, ale także odpowiedzialna i lepsza i bliższa Boga.

30. I – 2. II. 69

Nareszcie skończyłem pisać o Studziannie. Ile mnie to kosztowało? Sam nie mogę pojąć. Wiele wstydu doznałem pisząc. Przykro mi było, że tyle spotykało się małostkowości – zaprzeczenia idei Filipowej i godności kapłańskiej. Nieraz przychodziły pokusy, czy te dekrety wizytacyjne z 18 wieku nie były – pod osłoną wizytacji – wyrażeniem niechęci wobec zakonów, ale zbyt mało wiem, aby tak sądzić. Trzeba by szerszego poglądu i bardziej analitycznych źródeł. Tu są tylko fakty bez żadnego komentarza. Jeśli te fakty są prawdziwe, to dowód, że ludzie są słabi i jak mogą wypaczyć piękne idee, i to wniosek, że potrzeba jest jakieś kontroli, nadzoru, albo odpowiedzialnej wolności.

Pierwsze egzaminy poszły dobrze – średnio, oby następne nie były gorsze – daj Boże, a młodzieży chęci do nauki i świadomego, ofiarnego dążenia do celu, mając na uwadze i intelekt i charakter i formację duchową. Jakże im brakuje bardziej poetycznego – lirycznego spojrzenia na rzeczywistość. Tylko fakty – liturgia ich nie urzeka, chyba nie mogą jej zrozumieć, bo wolą starszą, jakoś szablonowo wszystko biorą, bez wżycia się i racjonalnego uzasadnienie.

Uroczystość Jana Bosko. Jest mi bardzo bliski, dlatego że zrealizował zasady Filipa, oczywiście w wydaniu Salezego. Dziś jednak prewencję trzeba trochę zmodyfikować, co nie znaczy, aby z niej zrezygnować; lecz świadomość wychowanków wymaga tego, aby ich więcej samodzielnie traktować, wyzwolić zaufanie i wykorzystać ambicje. Masowe środki przekazu: gazety, radio, telewizja, kina, kluby, zespoły muzyczne, mają niezaprzeczalny wpływ i urzekają młodzież. Nie zawsze da się zastąpić te atrakcje równie atrakcyjnymi rozrywkami. Trzeba dlatego młodzież uodparniać na to co jest niewłaściwe w tych programach.

Trudno jest trafić do młodzieży dzisiaj. Czy to duch czasu? Czy brak umiejętności. Jak wiadomo autorytet nic nie znaczy. Cóż ksiądz? Zresztą inni go też nie mają ze swego urzędu. Dobre życzenia rodziców, życzenia, które by aktualne 20-30 lat temu,

na nic się nie zdadzą. Dużo niezależności, pewności siebie, typ wymagający od innych, lecz nie od siebie, postawa konsumpcyjna – *"daliście nam życie, dajcie ubranie, chleb, pieniądze i swobodę"*, postawa krytyczna i zarazem skryta. Jeszcze autorytet osobisty, otwartość i jakieś osobiste osiągnięcia, mogą zaimponować, złapać za serce i dać się kierować, ale nic nie jest stałego. Piękne obietnice i szczere, a za miesiąc wszystko inaczej – gorsza, bo beztrosko. Młodzież wykorzystuje rozdźwięk pomiędzy ideologiami materialistyczną i idealistyczną, a ponieważ religia niesie ciężary i przekazać się jej nie da, jak kiedyś, lecz trzeba zachęcić do osobistego szukania.

To samo trzeba przenieść na teren klerycki. Przecież ta sama młodzież, zbieracze płyt – lepiej znają wyniki ligowe, czy piosenki i piosenkarzy, jak Ewangelię, a w ogóle – są odważni; ale co mnie najbardziej martwi – mało odpowiedzialni za swoją duchowość. Internatowa mentalność. *Uwaga, bo jest, słyszy, widzi*, a jeśli nie, to głośno, to zamiast nauki – dyskusja.

Już dwa miesiące upłynęło programu duszpasterskiego – chrystologicznego. Jak on wygląda: 1. rok – Chrystus osobowy i mistyczny – ponadczasowy, 2. rok – spotkanie z Chrystusem w sakramentach świętych, 3. Chrystus – Drogą, Prawdą i Życiem, 4. Chrystus Światłością Narodów.

Cóż, trzeba konsekwentnie samemu po-soborowemu studiować Chrystusa i wszystkim to propagować. Praktycznie: czytanie Ewangelii w nastawieniu – spotkania osobistego z Chrystusem, aby lepiej poznać Chrystusa, ugruntować wiarę, umocnić nadzieję, pogłębić i rozszerzyć miłość.

(c.d.n.)

oprac.: ks. Włodzimierz Mleczko COr

JAKI BYŁ OJCIEC JAROMIN ?
W 10 rocznicę śmierci

14 maja br. minęło 10 lat od śmierci O. Henryka Jaromina. Tak wiele zawdzięczamy Ojcu Jarominowi; wielu z nas wprowadzał w tajniki życia filipińskiego, dla wielu był współbratem, przełożonym, wychowawcą, mądrym kierownikiem duchowym, spowiednikiem... Upływający czas zaciera jednak wspomnienia. Chciałbym coś z tych wspomnień ocalić.

Cztery lata temu, zbierając materiały do pracy nt. "Model życia zakonnego według ks. dra Henryka Jaromina (1932-1985)", udałem się do domów zakonnych żeńskich Tarnowa z prośbą, aby siostry, które korzystały z posługi O. Jaromina, udzieliły pisemnej odpowiedzi na następujące pytania:

1. Czym charakteryzowało się kapłaństwo O. H. Jaromina? Jakim był kapłanem, kaznodzieją, kierownikiem duchowym, spowiednikiem?

2. Na jakie elementy życia zakonnego zwracał szczególną uwagę w swych konferencjach, radach duchowych, itp.?

3. Czy można mówić, że miał jakiś "swój" model życia zakonnego, który propagował?

4. Za co Siostra jest szczególnie wdzięczna O. H. Jarominowi?

Oto wszystkie otrzymane wówczas odpowiedzi:

* * *

Śp. O. Henryk Jaromin był kapłanem pełnym ducha Bożego, kapłanem modlitwy, odznaczał się wielką gorliwością w pełnieniu służby Bożej.

Swoje wielkie cierpienia, którymi Go Pan obdarzył znosił z wielką cierpliwością, nigdy nie narzekał, nie skarżył się. Z całej postaci Ojca przebijały: spokój, radość i wielka miłość Boga i bliźniego.

Jako spowiednik i kierownik duchowy był bardzo wyrozumiały, umiał dusze wprowadzić na właściwe tory, w prowadzeniu do Boga był również wymagający.

Miał dar przekazywania swoich wiadomości innym, uczył modlitwy, czasem nawet w żartobliwy sposób, a jakże głęboki, np. *"Gęba się rusza, ale nie modli się dusza"*. Często też powtarzał: *"Lepszą rzeczą jest dawać aniżeli brać"*.

Śp. Ojcu H. Jarominowi jestem wdzięczna za Jego dobroć, wyrozumiałość w trudnych sprawach, oraz za prawdziwą postawę Kapłana Bożego.

[bez podpisu]

* * *

Ojciec Henryk Jaromin był dla mnie wspaniałym spowiednikiem, wyrozumiałym i łagodnym, a jeśli zachodziła potrzeba wytknął błąd i wskazał środki zaradcze. Był cierpliwy i czekał kiedy choć trochę się zmieni.

Pragnął, aby przy spowiedzi przedstawić nie tylko grzechy i winy, ale też i dobre strony swoje.

Powiedział mi kiedyś – cytuję Jego słowa: *"U ciebie chyba też jest coś dobrego, a nie tylko same winy"*.

Ojca Jaromina często widziałam – szczególnie pod koniec życia – jak z wielkim wysiłkiem szedł do konfesjonału, aby spowiadać siostry czy też osoby świeckie, a duże kolejki ciągle się ustawiały do Niego, nigdy się nie dyspensował chociaż był bardzo chory i słaby.

[bez podpisu]

* * *

Miałam to szczęście, co prawda niedługi okres czasu, ale prawie cały mój pobyt w junioracie korzystać z posługi w konfesjonale Ojca Jaromina. Wydaje mi się najbardziej ważny czas przed Wieczystą Profesją – gdzie tyle człowiek musi uodpornić się do nie zawsze lekkiego życia. Wtedy to spowiednik ma dużą rolę do spełnienia. Właśnie w osobie Ojca Jaromina miałam wielką podporę. Sam żył Bogiem i Jego sprawami, chciał jak najwięcej pomóc, by inni mogli być bliscy Pana. Zawsze z otwartością i prostotą swego kapłańskiego serca umiał pomóc, doradzić, często zapewniał pamięć modlitewną, często zachęcał do takiego całkowitego oddania się Bogu i Jego sprawom. Wymagał często i wyczulał życie oddanej osoby Bogu na Jego ciągłą obecność.

Uwrażliwiał niejednokrotnie na szacunek Boga w drugim człowieku. Mówił: *pamiętaj siostro, że jedyną troską Jezusa było "aby byli jedno"...*, tu przypominał zawsze o miłości drugiego człowieka, tego najbliższego. Mówił, że miłość mamy jedną; czyniąc dobrze bliźniemu, tym samym czynię dobrze Bogu. Często zachęcał do tego, by jak najpełniej przeżyć swoje życie. Mówił, że apostolstwo nasze to nie zawsze głosić Chrystusa – rozdawać Chrystusa ludziom w sposób sakramentalny – ale Tego, którego masz sama w sercu. Mówił: *nie pozwól siostro nigdy by On Pan cierpiał sam – pomagaj Mu...*

Już tyle czasu upłynęło od tych rad i pouczeń, z których mogłam korzystać – może nie zawsze umiałam się otworzyć na pomoc Ojca Jaromina, docenić Jego pomoc... Teraz, po tylu latach często wspominam i w sercu towarzyszą mi rady Ojca, któremu wiele zawdzięczam. Stwierdzić muszę, że to co w młodości swojej człowiek zyska z tych wartości – dziś łatwiej przebywać z Panem i wypełniać swoją "samotność' Panem.

Mówił Ojciec Jaromin, że za Panem trzeba iść całkowicie i godnie, mówił że wieczność by była miłością – muszę trwać ciągle w łączności z Jezusem. Uważam, że słowa Ojca były zawsze zachętą do dobrego, że był bardzo dobrym Wychowawcą – pamiętam jak wychowywał mnie do Eucharystii i codziennej Komunii św.

Jestem bardzo wdzięczna Bogu, że postawił Ojca Jaromina na początku mojej drogi za Nim; niejednokrotnie mówię – przydał by mi się Ojciec Jaromin, który przecież tak często przebywał w konfesjonale, który zawsze chciał pomóc, uchronić, przestrzec i wskazać najlepsze wyjście z danej sytuacji, nigdy nie zlekceważył żadnej sytuacji – zawsze pomógł chociażby zapewnieniem – *siostro omodlę to...*

Tak trudno pisać... mam nadzieję, że to dobro, które siał Ojciec Jaromin, kiedyś wyda plon.

Tu na ziemi był przedłużeniem miłosierdzia Pana, dlatego też Pan niech będzie Mu miłosierny i da wieczną radość. Gdy jestem w Tarnowie często zachodzę na grób – zawsze z wdzięcznością... Ojcze...

[bez podpisu]

* * *

Kościelisko 9.IX.1991

Wspomnienie o Ojcu Henryku Jarominie

Kapłaństwo O. Henryka Jaromina charakteryzowało się wielką gorliwością w służbie Bożej i optymizmem. Był kapłanem wielkiego ducha, dobrym spowiednikiem i kierownikiem duchowym. Był bardzo wyrozumiały, umiał pocieszyć, poradzić oraz zachęcić do wierności, robił to nie tylko słowem, ale przykładem swego życia. Był otwarty, bezpośredni, nie krępował swoją osobą, zawsze gotowy do usług mimo cierpienia, które znosił po bohatersku.

Odwiedziłam Go w szpitalu w Tarnowie i Tuchowie, był wdzięczny za odwiedziny, cieszył się gdy zapewniałam o modlitwie, pytał się o zdrowie sióstr jakby zapominając o sobie, interesował się każdą siostrą.

Jestem wdzięczna Bogu, że mogłam poznać takiego kapłana i korzystać z Jego kapłańskiej posługi.

s. M. Józefina Chmaj

* * *

O. Henryka Jaromina znałam zaledwie półtora roku. Był moim spowiednikiem i kierownikiem duchowym.

Był kapłanem mądrym, pracowitym, radosnym, ofiarnym. Pan Bóg obdarzył Go cierpieniem, ale On nigdy nie narzekał, nie skarżył się, nie zajmował się sobą, do ostatniej niemal chwili służył potrzebującemu człowiekowi.

Gdy odwiedziłam Ojca w szpitalu w Tuchowie był bardzo pogodny, odwracający uwagę od swojej choroby, żywo interesujący się sprawami innych. Był spowiednikiem bardzo wyrozumiałym, cierpliwym i łagodnym. Był naprawdę kochającym Ojcem, do którego można było podejść z prostotą dziecka, ze szczerością, otwartością i zaufaniem. Miał w sobie tyle dobroci, pogody, można było do niego iść ze wszystkim, nie krępował swoją osobą, ale starał się doradzić, pomóc, podtrzymać na duchu, pocieszyć; był dobrym Pasterzem.

Na pierwszym miejscu stawiał modlitwę, życie obecnością Bożą w ciągu dnia, uczył z wiarą przyjmować to wszystko co niesie codzienne życie, często zachęcał do rozważania Męki Pańskiej, bo w Krzyżu Chrystusa widział najlepsze rozwiązanie wszystkich trudnych sytuacji życiowych.

Ojcu Henrykowi Jarominowi jestem wdzięczna za Jego piękną postawę kapłańską, za cierpliwość i czas poświęcony dla dobra duszy.

[bez podpisu]

* * *

Wspomnienie o śp. Ojcu Henryku Jarominie

1. Wielka gotowość i gorliwość w służeniu pomocą duszom, które pragną postępować w doskonałej miłości. Choć bardzo słabego zdrowia, resztkami sił szedł do konfesjonału, nigdy nie odmówił, często zajęty, prosił chwilę poczekać.

2. Ponieważ byłam daleko od Tarnowa, raz tylko słyszałam Ojca konferencję na temat modlitwy. Mówił jak można doświadczyć bliskości Boga w codziennym życiu, przy różnych obowiązkach – podawał w szczególny sposób – wyczuwało się, że sam tym żyje.

Był spowiednikiem bardzo dobrym, wymagającym, a przy tym delikatnym i wyrozumiałym (Mam jeden list od Ojca Henryka). W konfesjonale przemawiał z taką siłą i mocą, że przekonał o możliwości wyjścia z trudnych sytuacji. Umiał podnieść na duchu. Żądał posłuszeństwa. Na posłuszeństwo zakonne kładł wielki nacisk, i na ducha modlitwy – był dobrym też kierownikiem duchowym.

3. Tak – miał "swój" model życia zakonnego, który propagował. Nie znał kompromisu – czasem mogło to być trudne, nawet bolesne dla penitentki – jednak tak potrafił przekonać i rozładować, że odchodziło się od konfesjonału z radosnym zapałem wspinania się w zwyż.

4. Jestem ogromnie wdzięczna Ojcu Henrykowi, codziennie modlę się, aby cieszył się oglądaniem Boga. Jestem bardzo wdzięczna za to, że zawsze stawiał mi wysokie wymagania. Nigdy po spowiedzi u śp. Ojca nie byłam zniechęcona, przeciwnie, z nowym zapałem starałam się służyć Panu.

s. Scholastyka Mierzwa
Toruń, dn. 14 września 1991 r.

* * *

1. Ojca Henryka Jaromina cechowała wielka godność wypływająca z kapłaństwa, które objawiało się dostojeństwem a zarazem bezpośredniością jaka cechuje ludzi wielkich duchem. Swoje kapłaństwo realizował w codzienności, nie połowicznością, a swoją postawą i czynem dawał świadectwo, że wielki dar Boży jakim go Bóg obdarzył czyniąc go Szafarzem swych łask, pragnie spełnić jak najlepiej. Jego kazania i prelekcje były płomienne, w których przebijała wielka miłość Boga i bliźniego. Jako kierownik duchowy był bardzo wyrozumiały, ale nie pobłażający, wymagał od penitenta pracy nad urobieniem swojej duchowości i walki z wadami oraz pogłębieniem wiary i miłości Boga i bliźniego.

2. O. Henryk Jaromin tak w konferencjach dla sióstr jak też w radach duchowych zwracał szczególną uwagę na wierność ślubom oraz modlitwę i miłość bliźniego.

3. Modelem Jego życia było wielkie rozmodlenie i zaufanie Bogu we wszystkich okolicznościach i to starał się przekazać innym.

4. O. Henrykowi Jarominowi jako długoletniemu memu spowiednikowi zawdzięczam bardzo wiele. W mych trudnościach udzielał mądrych rad, które pomagały mi przezwyciężać bolesne doświadczenia życiowe i zamieniać je na dar złożony Bogu.

[bez podpisu]

* * *

ODPOWIEDZI
na pytania dot. śp. Ojca Henryka Jaromina COr

1. Charakterystyka śp. Ojca Henryka Jaromina

Jako Kapłan – był gorliwy, punktualny, chętnie służący pomocą duchową tak Siostrom zakonnym jak i świeckim. Czynności kapłańskie spełniał z należytą pobożnością. Wyczuwało się u niego wielkie zatroskanie o sprawy Boże i dusze ludzkie. Mimo słabego zdrowia wytrwale służył w konfesjonale, przy którym były zawsze kolejki. Jest mi wiadomo, że po domach prywatnych odwiedzał chorych, samotnych, opuszczonych przybywając do nich z posługą kapłańską i słowem pociechy.

Śp. Ojciec Henryk był naznaczony stygmatem choroby, ale tak się zachowywał jakby był zdrowy.

Jako kaznodzieja – mówił realnie, opierając się na Piśmie św., z którego wyciągał konkretne wnioski. Miało się wrażenie, że otwiera nowe karty Pisma św.

Jako kierownik duchowy – wymagał z umiarem. Umiał angażować do pracy nad sobą i tu był nieustępliwy, chociaż nie żądał wielkich osiągnięć. Był zadowolony, jeżeli w ogóle coś się robiło, ale jeśli był zastój, to po ojcowsku podprowadzał na drogę życia wewnętrznego. Charakterystyczne u Ojca było to, że jeśli się miało jakiś problem, zajął się wyłącznie tym zagadnieniem, pomijając sprawę życia wewnętrznego. Nie narzucał swoich propozycji, raczej kierował duchowymi możliwościami jakie dostrzegał u penitentki. Były jednak sytuacje, że proponował – "jeśli chcesz" – swoje rady.

Jako spowiednik – był miłosierny, umiejący każdą zrozumieć, mający wielkie wyczucie stanu penitentki. Był bardzo ludzki, ale równocześnie wyczuwało się u Niego głębie Boga. Posiadał dar właściwego ustawiania problemów duszy i ciała oraz dar porządkowania sumienia. Nie kierował się względami ludzkimi. Jeśli zachodziła potrzeba upominał. Jeśli spostrzegł, że penitentka przeżywa jakieś przykrości czy strapienia, wtedy nie upominał, chociażby na to zasługiwała. W takich sytuacjach służył ojcowską radą i podnosił na duchu.

2. Gdy chodzi o życie zakonne śp. Ojciec Henryk kładł wielki nacisk na kontakt z Bogiem, modlitwę, zwłaszcza adorację Najśw. Sakramentu. To On zaprowadził wystawienie Najświętszego Sakramentu w monstrancji w czasie, gdy Wspólnota odprawia spowiedź. Bardzo leżała mu na sercu sprawa miłości bliźniego oraz prowadzenia życie wewnętrznego, do czego wdrażał każdą penitentkę.

3. Nie spostrzegłam, czy śp. Ojciec Henryk Jaromin miał "swój" model życia zakonnego. Z zasady niczego nie narzucał. Jako spowiednik wczuwał się w ducha zakonnego danej penitentki zadając jej np. za pokutę modlitwy odmawiane w jej Zgromadzeniu. Śp. Ojciec Henryk był tak zawsze zwyczajny i naturalny, że jego inność mogła być niezauważalna.

4. Ojcu Jarominowi zawdzięczam:

— właściwe ustawienie sumienia i wyzwolenie mnie z niepotrzebnych udręk wewnętrznych.
— zakodowanie mi obowiązku prowadzenia życia wewnętrznego.

Moje odpowiedzi są bardzo nieudolnym przedstawieniem świetlanej postaci śp. Ojca Henryka Jaromina, który jak już wspomniałam był naznaczony krzyżem cierpienia, ale nigdy się nie użalał. Na temat swych dolegliwości – milczał. Można się było tylko domyślać, że z trudem pełni swe funkcje kapłańskie. Mimo to, pełnił je ochoczo i ofiarnie, służąc wspólnotom zakonnym do ostatka sił. Wokół swojej osoby nie robił żadnego szumu. Na życie patrzył trzeźwo i bardzo realnie podchodził do każdej sytuacji życiowej, wszystko odnosząc do Boga. Pamiętam, gdy na okoliczność 25-lecia kapłaństwa Ojcu w kościele urządzono uroczystość jubileuszową, na której byłam obecna. Było tam wiele pochwalnych przemówień pod adresem Czcigodnego Jubilata. Pomyślałam wtedy, jak się też Ojciec czuje, słysząc tyle pochwał i podziękowań za jego postawę kapłańską i zakonną. Gdy popatrzyłam na niego, spostrzegłam. że miał taką postawę, jakby to nie chodziło. I rzeczywiście; po skończonych przemówieniach głos zabrał Ojciec: *"Nie nam Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę..."* Wszystkie przemówienia, uznania i pochwały jakie usłyszał pod swoim adresem, sprowadził do jednego zdania: *"Nie nam Panie..."*

Pragnę wyrazić, że z wielką radością przystąpiłam do wypowiedzi na temat śp. Ojca Henryka Jaromina, wspaniałego Kapłana, przykładnego zakonnika, wielkiego Ojca duchownego Sióstr zakonnych. Nauka jaką wdrażał w nasze serca i dusze nadal owocuje.

s. M. Romualda Bernacka
józefitka
36 lat życia zakonnego
Tarnów, dnia 30.IX.1991

* * *

Wspomnienie o O. Henryku Jarominie COr

1. Zawsze wspominam O. Jaromina jako wzór kapłana Chrystusowego z prawdziwego zdarzenia. Można było wiele razy zauważyć, że na co dzień żył Chrystusem i Nim obdarzał wszystkich, z którymi się spotykał. Z ogromnym szacunkiem odnosił się do każdego człowieka bez najmniejszego wyjątku.

Bardzo lubiłam uczestniczyć w Mszach św. odprawianych przez O. Jaromina, gdyż szczęście zjednoczenia z Chrystusem i głębokie skupienie udzielało się obecnym. Słowo Boże głoszone przez Ojca wypływało z głębokiej wiary oraz osobistego zaangażowania; nawet proste słowa zmuszały do refleksji i pomagały żyć Chrystusem na co dzień.

Jako kierownik duchowy był niestrudzony, cały oddany penitentowi, ujmujący życzliwością, pokorą i dobrocią. Pan Bóg obdarzył Ojca umiejętnością pomocy w każdej sytuacji. Mimo słabego zdrowia, zmęczenia, czy przepracowania, każdemu poświęcił tyle czasu ile było potrzeba, nie dając wyczuć najmniejszego zdenerwowania czy zaspieszenia, dzięki czemu penitent mógł być bardzo swobodny, szczery i uległy.

2. W konferencjach i radach duchowych Ojciec często podkreślał konieczność oparcia życia zakonnego na trzech cnotach Boskich, które otrzymaliśmy na chrzcie św., ale mamy obowiązek pracować nad ich pogłębieniem i rozwijaniem.

Bardzo często zachęcał, by cnotę wiary umacniać, rozwijać, pielęgnować i pogłębiać, gdyż tylko silna wiara jest fundamentem życia zakonnego.

Wspaniale umiał wychowywać do miłości, nie tylko słowem lecz swoją postawą. Podkreślał miłość czystą, bezinteresowną, która nie zważa na słabości innych, lecz w każdym człowieku dostrzega Chrystusa. Swoim życie uczył jak trzeba się pochylać z wielką miłością nad ubogimi, opuszczonymi i ludźmi z marginesu.

Często mówił Ojciec, że życie zakonne jest pogłębieniem konsekracji chrztu św., a przez śluby zakonne mamy dojść do pełni zjednoczenia z Oblubieńcem już tu na ziemi, by po śmierci bez końca rozkoszować się Jego miłością, inaczej życie zakonne jest zakłamaniem i nie ma najmniejszego sensu.

3. Model życia zakonnego Ojca to wielka pokora, uczciwość, dobroć, bezpośredniość, przez którą zjednywał sobie innych i prowokował do naśladowania.

4. Dziękuję Panu Bogu, że dane mi było poznać kapłana, który całkowicie oddał się Chrystusowi i ludziom, którym służył. Kapłan ten naprawdę zbliżał innych do Chrystusa, zapominając o sobie nawet w cierpieniu.

Jego wczesna śmierć była m.in. dowodem zapomnienia o sobie, a przez bardzo gorliwą i wytężoną pracę szybkim zużyciem się dla Chrystusa.

Bardzo pasowały do Ojca słowa św. Pawła: *"Dla mnie żyć to Chrystus, a umrzeć to zysk"*.

Wyrażam swoją wdzięczność Bogu i Księżom Filipinom, że przez 9 lat dane mi było korzystać z posługi Ojca Jaromina.

s. Jolanta Służebniczka Starowiejska

* * *

Przewielebny Ojcze!

Mam stale w brewiarzu słowa Ojca Jaromina, które przepisałam na obrazku Matki Bożej Szkaplerznej w Tarnowie z pamiątkowego obrazka innej Siostry.

"Dzięki Ci Jezu za wiele pięknych dni, za miarę niedoli i prób oraz za łaskę wytrwania i za dobroć braterską wspomagającą mnie w nieudolnej posłudze zbawienia... Proszę o dar modlitwy – ks. Henryk Jaromin – 56 lat".

Jestem stale zafascynowana tymi słowami. Niemal codziennie je odczytuję, modlę się za niego i ciągle myślę, że chyba lepiej byłoby się modlić o potrzebne łaski przez Jego wstawiennictwo.

Przecież w tych paru zdaniach Ojciec Jaromin bezwiednie sam o sobie pisze, że za szczęście poczytuje sobie powołanie, cierpienie, jakie go nękało od młodzieńczych lat, a którego nie uważa za "krzyż", tylko za zwyczajną niedolę nieodłączną od życia na ziemi; jak musiał kochać swoje powołanie zakonne – czytamy między liniami, jak kochał Braci w powołaniu, którzy Go wspomagają *"w nieudolnej posłudze zbawienia"*, którą z takim zapałem pełnił w stosunku do wszystkich, a szczególnie do zakonnic w konfesjonale, w którym nigdy nie żałował czasu, każdemu poświęcił tyle czasu, ile było potrzeba.

Coraz więcej kocham Ojca Jaromina, którego za Jego życia nie znałam, jakkolwiek przez wiele lat spowiadałam się regularnie u Niego w naszym Domu na Mościckiego. Wdzięczna mu jestem za te słowa na obrazku.

Jako spowiednik był bardzo dobry w tym sensie, że nieraz usprawiedliwiał penitentkę. Np. *"Bądź spokojna, bo ta Siostra jest jednostronna"*. Pamiętam, jak dawał mi za przykład Waszego Ojca Założyciele, który w starszym wieku mówił do młodych adeptów Zgromadzenia: *"Jacy wy szczęśliwi, że macie całe życie przed sobą i możecie bardzo kochać Boga, ja już stary, życie poza mną i nie mogę już zacząć od początku żyć bardzo gorliwie"*.

Juniorystka miała poważne trudności sama ze sobą. Nie wiedziała co zrobić. Według mnie nadawała się do opuszczenia Zgromadzenia. Poszłam do Klasztoru do Ojca Jaromina i przedstawiłam całą sprawę, prosząc o radę. Ojciec uważnie wysłuchał i powiedział, aby sama zainteresowana przyszła do niego. Poszła więc do Ojca. Nigdy nie pytałam tej Siostry o to spotkanie. Przy najbliższej spowiedzi u nas, Ojciec mi powiedział, że ta Siostra powinna zostać w Zgromadzeniu. Pragnę zaznaczyć, że dzisiaj ta Siostra pełni poważne funkcje w Zgromadzeniu i poza Zgromadzeniem, ku zadowoleniu przełożonych i władz świeckich.

Bywałam w rozmównicy przy podwieczorku Ojca. Nigdy nie słyszałam dyspozycji co może jeść, a co nie, co smakuje lub nie. Bolało mnie, gdy spostrzegłam, że Ojciec miał chyba trudności z samą "techniką" jedzenia. Nigdy nie słyszałam nawet jednego słowa na temat jego zdrowia.

O ile wiem z relacji innych – przy renowacji i adaptacji Waszego kościółka, Ojciec miał trudności ze znaczącą Osobą w Tarnowie, z którą i ja miałam trochę do

czynienia przez 12 lat. Ojciec nigdy nie poruszał tego tematu, o nic nie pytał, chociaż moją sprawę też chyba znał.

Gdy latem 1980 r. odpoczywałam i leczyłam się po zejściu z urzędu w Iwoniczu, Ojciec mnie odwiedził. Sam odpoczywał (nie potrafię dziś powiedzieć w jakiej miejscowości) gdzieś niedaleko Iwonicza i przyszedł do nas pieszo przez las. Serdecznie rozmawiał a pod koniec wizyty zaproponował mi, abym zajęła się pisaniem. *"Co mam pisać Ojcze?" – "Wszystko, co siostrze przyjdzie na myśl"* – odpowiedział poważnie.

To było moje ostatnie widzenie z Ojcem.

Dopiero teraz bardzo kocham Ojca za Jego dobre i wyrozumiałe serce, modlę się za Niego i do Niego i z wielką radością czekam na spotkanie w Domu Ojca.

Przepraszam, że nie odpowiadam ściśle na pytania, ale nie potrafię tego porządnie zrobić. Może to moje bazgranie z błędami i poprawkami przyda się na co. Stać mnie tylko na tyle.

Z zakonnym uszanowaniem
s. M. Teona Grodecka
józefitka
Gliwice, 10.IX.1991

* * *

O d p o w i e d z i
na ankietę dot. śp. Ojca Henryka Jaromina

1. Ojciec Jaromin był Kapłanem wzorowym, wyczuwało się u niego zjednoczenie z Bogiem. Jako spowiednik i kierownik duchowy – umiał wymagać, doradzić i podnosić na duchu.

2. Najczęściej zwracał uwagę na życie wspólne i na Eucharystię oraz na dobro drugiego człowieka.

3. Nie wyczuwało się, aby miał swój model życia zakonnego, natomiast dawał trafne wskazania właściwe dla każdej duszy. Zachęcał do adoracji i oddania się Bogu na każdą chwilę, czym na pewno sam żył.

4. Jestem wdzięczna Ojcu za to, że nauczył mnie modlitwy na cały dzień a nie tylko w kaplicy.

siostra józefitka
38 lat życia zakonnego

oprac. ks. Włodzimierz Mleczko COr

ks. Wodzimierz Mleczko COr
(Tarnów)

MODLITWA RACJĄ BYTU ORATORIANINA

Rok Jubileuszu 400-lecia śmierci św. Filipa miał być w naszych domach rokiem szczególnej modlitwy, miał przypomnieć nam, że Oratorium to dom i szkoła modlitwy, a oratorianin to człowiek modlitwy.[1]

Czym jest modlitwa? Jaką rolę powinna pełnić w naszym życiu? Na te i tym podobne pytania możemy znaleźć odpowiedź m.in. w konferencjach ascetycznych O. Henryka Jaromina. W archiwum Kongregacji Tarnowskiej (skrót ArKT) znajduje się znaczący, bo obejmujący ponad sto pozycji, zbiór konferencji poświęconych zagadnieniom życia zakonnego, opracowanych przez O. Jaromina z myślą o comiesięcznych skupieniach dla sióstr zakonnych. Niektóre z tych konferencji były wykorzystywane, o czym świadczą zapiski dokonane ręką O. Jaromina, także w pracy formacyjnej z klerykami filipińskimi.

Mijająca w tym roku 10-ta rocznica śmierci O. Henryka Jaromina to szczególna okazja, aby sięgnąć do tej spuścizny.

* * *

Mistrzowie życia duchowego mówiąc o tzw. *"owocach modlitwy"* zawsze dostrzegali w niej uprzywilejowany czynnik duchowego rozwoju i osiągania chrześcijańskiej doskonałości. Nawiązując do tej tradycji soborowy Dekret o przystosowanej odnowie życia zakonnego *"Perfectae caritatis"* zachęca osoby konsekrowane, aby *"z nieustanną pilnością, w oparciu o autentyczne źródła duchowości chrześcijańskiej, pielęgnowały ducha modlitwy i samą modlitwę"* (DZ 6). Również w nakreślonej przez O. Henryka Jaromina wizji życia zakonnego modlitwa zajmuje uprzywilejowaną pozycję – *"musi mieć ona pierwsze miejsce nie tylko w Konstytucjach, ale i w życiu, w praktyce"*.[2]

W konferencjach O. Jaromina znajdujemy szereg wypowiedzi na temat istoty modlitwy; modlitwa jest rozmową z Bogiem, odpowiedzią człowieka na słowo Boże, spotkaniem z Bogiem, który objawia się w miłości;[3] jest dziełem całego człowieka, aktem rozumu, serca i woli; to wewnętrzny zwrot i głębokie oddanie się Bogu, wzniesienie duszy do Boga, akt miłości i adoracji.[4] W życiu duchowym modlitwa jest życiodajną więzią z Bogiem, pozwala doświadczyć Boga i radości przebywania z Nim.[5]

---

[1] Zob. *Konstytucje Kongregacji Oratorium św. Filipa Neri*, nr 1-4

[2] ks. H. Jaromin *Jak zachować równowagę pomiędzy modlitwą a pracą* (1973), w: tenże, *Konferencje ascetyczne*, t. 2, (skrót KA 2), mps ArKT, s. 146.

[3] Zob. tamże, s. 146-147.

[4] Zob. *Czym jest modlitwa* (10 X 1980) mps ArKT, s. 1-2.

[5] Zob. *Współczesne spojrzenie na wartość modlitwy* (28 IV 1978) mps ArKT, s. 2.

O. Jaromin był świadom, że każde z przytoczonych określeń ujmuje tylko jakiś aspekt tej zanurzonej w tajemnicy Boga i tajemnicy człowieka rzeczywistości. Podejmując zatem w swych konferencjach problem modlitwy, nie zmierzał do sformułowania jakiejś wyczerpującej definicji. Pragnął on raczej ukazać modlitwę w relacji do życia duchowego osoby poświęconej Bogu.

Autor konferencji dostrzega silną zależność pomiędzy życiem duchowym a życiem modlitewnym. Życie duchowe wiąże wprost z życiem modlitewnym. *"Modlitwa jest koniecznie potrzebna dla życia duchowego. [...] Bez regularnej modlitwy nie ma życia wewnętrznego – istotę tego życia stanowi modlitwa".*[6]

Ucząc, że na modlitwie otwieramy serce na działanie łaski, przygotowujemy jakby grunt na jej przyjęcie, O. Jaromin sytuuje modlitwę u źródeł duchowego rozwoju. Przyznaje, że dla zaistnienia modlitewnego przeżycia konieczna jest już uprzednia *"wiara w żywego Boga, wiara w Jego rzeczywistą i bezpośrednią obecność".*[7] Z drugiej jednak strony mocno podkreśla, że *"wiara żyje z modlitwy, a nawet ze wiara jest modlitwą. [...] Kiedy naprawdę wierzymy już się modlimy, a kiedy gaśnie modlitwa, gaśnie też i wiara".*[8]

Dla O. Jaromina modlitwa jest tym elementem życia duchowego, który w szczególny sposób kształtuje duchowe postawy człowieka wobec Boga, siebie samego, świata i innych. Rodząc się ze znajomości Boga modlitwa prowadzi do jeszcze głębszego poznania Boga. *"W najwznioślejszej swej formie modlitwa przestaje być prośbą... Człowiek modlący się doświadcza Boga, Pana wszechrzeczy, Jego miłości. Gotów jest spełnić wszelkie zamiary Boże, nie chce w niczym uchybić tej Miłości, [...] jest do dyspozycji Boga".*[9]

Jednocześnie modlitewne bycie z Bogiem jest szansą zdobycia głębszej samoświadomości, lepszego poznania siebie. Stając do modlitwy, stając przed Bogiem, człowiek musi *"stanąć w wewnętrznej prawdzie".* Musi uznać swą niewystarczalność, słabość, grzeszność, zależność od Stwórcy i Zbawcy. Zarazem jednak człowiek na modlitwie, doznając Bożej miłości, jest w stanie odkryć swoją niezwykła godność – godność *"współobywatela świętych i domownika Boga"* (Ef 2,19).[10]

Modlitwa otwiera nas także na innych, na ich potrzeby, na otaczającą rzeczywistość. Nawet Chrystusowe wezwanie do nieustannej modlitwy (por. Łk 18,1; 21,36) – podkreśla O. Jaromin – *"nie jest wezwaniem do ucieczki od rzeczywistości, od życia".*[11] Osoba zakonna trwając przed Bogiem myślą i sercem, zjednoczona z modlitwą Chrystusa ogarnia swoją modlitwą cały świat. Modli się z tymi, którzy się modlą i za tych, którzy się nie modlą. Dziękuje za otrzymane łaski, wynagradza, w jej błaganiu ma swe odbicie wszelka ludzka niedola.[12] W takim ujęciu modlitwa

---

[6] *Jak zachować równowagę pomiędzy modlitwą i pracą,* dz. cyt., s. 143.

[7] Tamże, s. 147.

[8] Tamże.

[9] *Czym jest modlitwa,* dz. cyt., s. 2.

[10] Zob. *Znaczenie modlitwy w naszym życiu duchowym* (29 III 1977) mps ArKT, s. 2-4.

[11] *Sempre orare* (10 IX 1977) mps ArKT, s. 1.

[12] Zob. *Zakonnica siostrą całego świata* (1 VI 1973) mps ArKT, s. 3.

przybiera kształt miłości, bez której wszystko co człowiek czyni, nawet przy największych pozorach doskonałości, jest – jak uczy św. Paweł – *"niczym"* (1 Kor 13,1).

Teologia duchowości chrześcijańskiej widzi w modlitwie *"istotny wykładnik poziomu życia duchowego"*.[13] W konferencjach O. Jaromina znalazło to swoje odzwierciedlenie. Wśród wielu oznak duchowego postępu, obok unikania grzechów, opanowania namiętności i popędów, praktykowania cnót, O. Jaromin wymienia właśnie *"postęp w modlitwie"*, zaznaczając przy tym, że dokonuje się on w kierunku uproszczenia i kontemplacji.[14]

Autor konferencji słusznie przestrzega swoich słuchaczy przed utożsamianiem postępu duchowego z pomnożeniem ilości odmawianych modlitw czy odprawianych nabożeństw. Tego rodzaju postępowanie może mieć skutek odwrotny, może w ogóle zniechęcić do życia duchowego.[15] *"Prawdziwy duch modlitwy* – uczy ks. Jaromin – *polega na całkowitym oddaniu się Bogu, a nie na ilości praktyk. [...] Iluzją jest pobożność, która stawia na ilość. W tych licznych praktykach może być więcej pańszczyzny niż pobożności i chwały Bożej"*.[16]

Autentycznym znakiem postępu duchowego jest zatem nie tyle *"ilościowy"*, co przede wszystkim *"jakościowy"* rozwój życia modlitewnego; przechodzenie od modlitwy ustnej do coraz wyższych jej form, aż do kontemplacji mistycznej. W konferencji noszącej tytuł: *"Czy powołani jesteśmy do mistyki"* O. Jaromin uczy o powszechnym powołaniu do kontemplacji i życia mistycznego. W tym miejscu odwołuje się on do doktryny mistycznej św. Jana od Krzyża.[17]

Idąc za myślą soborowego dekretu o życiu zakonnym, który zachęca osoby konsekrowane, aby starały się łączyć kontemplację z miłością apostolską (por. DZ 5), O. Jaromin traktuje te dwa wymiary życia duchowego komplementarnie: *"Nie można oddzielać dzieł apostolskich od kontemplacji. [...] Kontemplacja karmi działanie, działanie stwarza potrzebę kontemplacji"*.[18]

Ważnym etapem na drodze do osiągnięcia stanu modlitwy kontemplacyjnej jest rozmyślanie, praktykowanie modlitwy myślnej. O. Jaromin podkreśla ogromną wagę tej tradycyjnej dla życia zakonnego – codziennej – praktyki. Jego zdaniem ograniczanie się tylko do modlitwy ustnej może być wyrazem jakiejś asekuracji, ucieczki, lęku przed całkowitym oddaniem się Bogu.[19] Stwierdza: *"dzień bez rozmyślania, to dzień stracony"*.[20]

Godne uwagi jest również to, w jaki sposób O. Jaromin rozkłada akcenty mówiąc o modlitwie liturgicznej – wspólnotowej, modlitwie prywatnej oraz o tym, co nazywane jest *"modlitwą życia"*. Nie ulega wątpliwości, że na pierwszym miejscu stawia modlitwę liturgiczną i wspólnotową. Widzi w niej niejako *"szczyt, a zarazem źródło"*

---

[13] ks. W. Słomka, *Świętość na świeckiej drodze życia*, Poznań-Warszawa 1981, s. 68.

[14] Zob. *Konieczność postępu* (15 I 1974) KA 1, s. 27-28.

[15] Zob. *Modlitwa prywatna* (17 VI 1975) KA 2, s. 141.

[16] *Jak zachować równowagę pomiędzy modlitwą a pracą*, dz. cyt., s. 1-5.

[17] Zob. *Czy powołani jesteśmy do mistyki* (22 II 1977) mps ArKT, s. 1-5.

[18] *Kontenplacja* (9 XI 1976) mps ArKT, s. 2.

[19] Zob. *Wierność modlitwie* (15 V 1981) mps ArKT, s. 3.

[20] *Jak zachować równowagę pomiędzy modlitwą a pracą*, dz. cyt., s. 145.

(por. KL 10) modlitewnego życia osoby konsekrowanej. Uprzywilejowaną pozycję tej modlitwy argumentuje wskazując na jej naturę: *"jako dzieło Chrystusa-Kapłana i Jego Ciała, czyli Kościoła, jest czynnością w najwyższym stopniu świętą"* (KL 7), przez nią też *"z największą skutecznością dokonuje się uświęcenie człowieka w Chrystusie i uwielbienie Boga"* (KL 10).[21]

Modlitewne życie osoby konsekrowanej nie może się jednak ograniczyć tylko do modlitwy liturgicznej (por. KL 12). Modlitwa ta – zdaniem O. Jaromina – winna znaleźć swe rozwinięcie w modlitwie prywatnej, tzn. nie ujętej w jakieś formy liturgiczne, ani regulamin dnia, czy w postanowieniach Konstytucji. Tego rodzaju modlitwa – osobista, nieformalna, będąca w szczególny sposób *"czynem serca"*, może być dobrym przygotowaniem do modlitwy liturgicznej oraz lekarstwem na różnorodne trudności w życiu duchowym. Nie można jednak – na co słusznie zwraca uwagę O. Jaromin – upatrywać swej pobożności tylko w modlitwie prywatnej. Mogłoby to bowiem prowadzić do przesadnego mnożenia tzw. *"praktyk"* nawet kosztem modlitwy liturgicznej czy wspólnotowej.[22]

Podejmując z kolei problem tzw. *"modlitwy życia"*, O. Jaromin ubolewa, że zbyt często istnieje rozziew między modlitwą a życiem. Tymczasem *"całe nasze życie powinno stać się modlitwą"*.[23] Nie oznacza to jednak, że można zaprzestać modlitwy w ścisłym tego słowa znaczeniu. *"Nawet Chrystus* – argumentuje O. Jaromin – *który jak nikt inny był zjednoczony z Ojcem i trwał w nieustannej modlitwie, korzysta z każdej okazji, aby się modlić w samotności, [...] idzie na miejsce osobne, aby się modlić (por. Mt 14,23; Mk 1,35)"*.[24] Tym bardziej więc osoba, która oddała swe życie Bogu winna powtarzać: *"Wszystko uczynię modlitwą, cały dzień, każde poświęcenie, każdą ofiarę... Ale nade wszystko pragnąć będę chwil wyłącznie poświęconych Bogu"*.[25]

W tym miejscu wyraźnie widać, że modlitwa dla O. Jaromina była nie tylko czynnikiem osiągania doskonałości życia zakonnego. Jest ona dla niego istotnym wymiarem realizacji powołania zakonnego, racją bytu osoby zakonnej, która niejako *"z powołania"* winna być w wyjątkowy sposób oddana i wierna modlitwie. Nic w życiu osoby poświęconej Bogu nie jest w stanie zastąpić modlitwy.

* * *

Oratorium – domem i szkołą modlitwy, oratorianin – człowiekiem modlitwy!

O. Jaromin – jak sądzę – był o tym głęboko przekonany, sam był człowiekiem modlitwy. Dlatego, kiedy mówił o modlitwie to nie teoretyzował, ale dzielił się swoim doświadczeniem modlitwy. Sądzę też, że bez wahania powtórzyłby za O. Mariano Sozzinim: *"Dopóki Kongregacja Oratorium będzie często się modlić, tak długo pozostanie Kongregacją i zachowa ducha"*.[26]

ks. Włodzimierz Mleczko COr

---

[21] Zob. *Modlitwa liturgiczna* (5 V 1975) KA 2, s. 136-139.

[22] Zob. *Modlitwa prywatna*, dz. cyt., s. 140-142.

[23] *Sempre orare*, dz. cyt., s. 1.

[24] *Wierność modlitwie*, dz. cyt., s. 2.

[25] Tamże, s. 4.

[26] *Oratorium św. Filipa Neri – Droga duchowa*, nr 129b.

SARCTI
PHILIPPI PERIS